Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce

skreślił

C. J. Kochanowski.

(Ciąg dalszy.)

Pośród tych zabobonów niemniej ważne miejsce zajmują zwyczaje myśliwskie, a przedewszystkiem uznawano patrona łowiectwa i cześć jemu oddawano. Gdy chrześciaństwo pod sztandarem krzyża wyrugowało rozmaite bogi i bożki, którym Słowianie w opiekę się oddawali, zniknęła również cześć im oddawana. Odtąd i myśliwy szukał patrona pośród świętych kościoła katolickiego, jakoż w rozmaitych krajach różni święci byli patronami myśliwstwa. W Niemczech czczono naprzód św. Marcina, który w swej młodości namiętnie miał się oddawać łowom. Kościół jemu poświęcony miał stać w miejscu, gdzie św. Wolfiliusz zburzył niegdyś świątynię Diany, bogini łowiectwa. We Francyi patronem był św. German (St. Germain), któremu król Robert poświęcił las w pobliżu Paryża, zwany podówczas Bierre, dziś pod Fontainebleau. W wieku X. przechodzi cześć tym świętym oddawana wyłącznie na biskupa Lüttichskiego, św. Huberta. Chętnie on oddawał się łowom, a gdy był jeszcze poganinem, na jednem z polowań złowiono w sieci jelenia, u którego pośród rogów jaśniał krzyż. Wypadek ten skłonił św. Huberta do przyjęcia wiary chrześciańskiej i poświęcenia się stanowi duchownemu, w którym doszedł do godności biskupiej. Trzeci dzień Listopada poświęcony temu biskupowi na pamiątkę przeniesienia ciała jego z Lüttich do klasztoru w Audan r. 743. Wymieniano cuda, jakie ten święty miał zdziałać. Dzień jemu poświęcony obchodzono uroczyście nabożeństwem, łowami, a w końcu myśliwską ucztą. Co roku aż do wieku XI. oddawano w ofiarze na cześć jego część zdobyczy łowieckiej, dziesięcinę zaś z ubitej w całym roku zwierzyny. Słynęły w wiekach średnich psy, które z psiarni tego świętego ród swój wywodzić miały, a były one zupełnie czarne, duże, silne, z krótkiemi goleniami, nadzwyczaj ostrym wiatrem, ale mniejszą rączością. Przez długi czas zajmowali się hodowaniem ich księża opactwa św. Huberta, zkąd je nabywano. Cześć oddawana temu świętemu przeniosła się z czasem do Polski, a najsolenniejsze uroczystości urządzał na cześć jego król August II., mianowicie łowami, trwającemi przez 8 dni. Pierwszego dnia zbierano się w galowych strojach w zamku o godzinie 9. rano, i wtedy objezdnicy donosili, gdzie, ile i jakie zwierzęta otropiono. Po spożyciu śniadania ruszano w knieje w następnym porządku. Naprzód jechali strzelcy, dalej masztalerze prowadzili konie królewskie, następnie król, otoczony ministrami, szambelanami, strzelcami, dworem swoim, potem szły powozy królowej i dam

dworskich, biorących udział w łowach. Przed knieją rozkładali przybory swoje cukiernik, kucharz i piwniczy królewski, pod namiotem stały stoły z potrawami i napojami. Tu powtórnie posilano się, poczem ruszano w knieje. Po skończonych łowach wracano do zamku, gdzie myśliwych oczekiwał bogato zastawiony stół. Wyżsi dostojnicy siadali do stołu królewskiego, niższych osobno ugoszczała służba dworska. Nazajutrz polowano z nagonką, trzeciego dnia była uroczystość dworska, czwartego wyprawiano się na dziki, piąty dzień pozostawiony był dyspozycyi króla, szóstego polowano z sieciami i straszakami, siódmego odpoczywano, a ósmy dzień przeznaczony był na polowanie *par force.* — Były też na cześć św. Huberta ustanowione ordery. Najdawniejszy z r. 1444 ustanowił Gerhardt, książę Jülichu i Bergu, odnowiony przez kurfirsta Filipa Wilhelma w r. 1708. Ustawy tego orderu były zawarte w 38 artykułach, które również zawierały zastrzeżenie, że udekorowanych nim mogło być tylko osób 12. Orderem tym był ośmiokończasty złoty krzyż, mający w tarczy z jednej strony zielono emaliowany krzak, a z niego w połowie widoczny wychyla się jeleń z krzyżem między rogami, przed którym klęczy św. Hubert. Na około tarczy i w środku jej znajduje się napis gotycki: *In Trau vast (in fide sta firmiter).* Order noszony był na pąsowej wstędze z zielonym brzegiem, przez lewe ramię. Podczas wielkich uroczystości noszono go na szyi na złotym łańcuchu. August III. obdarzony był orderem św. Huberta, ustanowionym w r. 1738 przez reichsgrafa Franciszka Spork. Order złotego jelenia, ustanowiony przez ostatniego potomka książęcej famili Piastowsktej Grzegorza Wilhelma r. 1672 w Brzegu, składał się z zielono emaliowanego, dębowego wieńca, w którym z jednej strony znajdował się złoty jeleń, z drugiej złote, czerwono emaliowane serce z białym krzyżem, a naszony był na zielonej, złotem tkanej wstążce na szyi (Reumann).

Naturalną było rzeczą, iż gdy myśliwstwo takiem poszanowaniem otaczano, i miało ono całe rodziny swą zdobyczą żywić, „by pan nie potrzebował wołu zabijać“, to musiano utrzymywać w tym celu odpowiednią ilość psów, ptaków myśliwskich, ludzi, przyborów, jak sieci, straszydeł i t. d. „Cobym miał o myśliwstwie pisać, snadno się każdy domyślić może, co za myśliwstwo było u tak Wielmożnego Pana, kiedy dnia prawie nie było, żeby kto nie oddał smyczy chartów, albo swory ogarów, albo sokołów, albo rarogów, bo tam nie akceptowano jarzębi. Myśliwców jednak położę: sokolników i rarożników, których było trzydzieści“. (Dwór Stan. Lubomirskiego r. 1697). Lecz to było myśliwstwo „Wielmożnego Pana“, z którym chudopachołkowi nie snadno się było równać, ale i do małego myśliwstwa należała znaczna ilość przyborów i ludzi. Do małego myśliwstwa potrzeba było: 8 koni, 3 myśliwców, 3 szczwaczy, innych myśliwców do psów 4, chłopców w domu 4, ogarów sfór 15“. (Gospodarstwo jezdzieckie, strzelcze i myśl.). Jeżeli małe myśliwstwo wymagało tyle ludzi, psów i koni, to cóż dopiero wielkie; nie dziw przeto, jeśli z tych czasów pozostało przysłowie: „psy go zjadły“, jakież bo to musiały być wydatki, aby wielką liczbę myśliwców, chłopców, psów i koni przy większem myśliwstwie w należytym stanie utrzymać?

Na polowaniu obierano „stanowisko“ na wolnem powietrzu lub pod drzewem, albo też w altankach umyślnie w tym celu urządzanych. Ostatnie stawiano szczególnie wtedy, gdy damy w polowaniu udział brały. Dla ich bezpieczeństwa urządzano altany na wzór dawnych palowych budowli, by niegrzeczny niedźwiedź lub niesalonowy dzik nie dobrał się do delikatnej skóry nadobnej czcicielki Dyany. Zdarzały się jednak wypadki obalania przez zwierzęta takich altan wraz z płcią piękną, jak to się stało z wzniesioną wysoko altaną, w której umieszczono Helenę, żonę Alexandra W. X. Litewskiego, wraz z jej fraucymerem. Kobiety nasze brały często udział w łowach. Dawne kroniki i podania wspominają o wielu kobietach myśliwych, a niektóre z nich odznaczały się nieustraszonością i celnością strzałów.

Naczelnictwo łowów obejmował najdoświadczeńszy myśliwy. On prowadzić kazał psy i w stosownej porze je puszczać, on czuwał nad dobrem rozstawieniem gończów, rozkładał sieci, wskazywał myśliwym stanowiska, umiał robić lepy, siecie, układał i hodował psy, ptaki i konie. Umiejętność trąbienia właściwą była każdemu myśliwemu polującemu z psami, a tem bardziej naczelnemu kierownikowi łowów. Myśliwstwo wymagało energii, bystrości i rozległych wiadomości, to też dobry myśliwiec bywał w wielkich łaskach u swego pana.

Knieje były to gęsto drzewami zarosłe przestrzenie, istne puszcze leśne. Tu przebywał niedźwiedź, dzik, wilk, żubr, jeleń, łoś, sarna, w górach głuszec i jarząbek, prócz innej mniejszej zwierzyny. Były też „połoniny“, bory poprzerywane łąkami i polami, stanowiące wszakże jeden większy kompleks lasów. „Szeliną“ nazywano mniejszy bór. „Płaszcze“ były przestrzenie mniejsze lub większe głównie krzakami zarosłe. W nich odbywały się zwykle najlepsze polowania na mniejszą zwierzynę, jakoteż często na grubą. Niedźwiedź miał „gawrę“, dzik „łożysko“ i t. d. O terminologii nie wspominam odsyłając do „Łowca“ i „Kalendarza“.

W ogóle dzielono łowiectwo na myśliwstwo ptasze i na grubego zwierza. Do pierwszego służyły rozmaite sposoby łowienia, siecie, lepy, samotrzaski i t. d., które niżej opiszę, a których dokładny obraz daje M. Cygański. Do drugiego należały wszystkie inne sposoby polowania, psy, siecie, później strzelba, która wnet i w pierwszem zasłynęła.

Polowano z wyżłami w ten sposób, że pies węchem wyszukiwał zwierzynę i przed nią stawał. Cygański każe psa prowadzić na sznurku, a gdy do zwierzyny stanie, koniec sznurka umocować do kółka wbitego w ziemię. Przed psem stającym do zwierzyny roztaczał myśliwy sieć, zwaną „rojezną“, gdy przypuszczał, że ptaki są przed psem, gdy zaś sądził, że pies do zająca stanął, rozciągał sieć zwaną „wilcze“. Dla przerażenia ptaka, by z miejsca się nie ruszył tak długo, aż myśliwy sieć nad nim rozciągnie, używano ułożonych jastrzębi, które nad nim przelatywały do myśliwego, berło trzymającego. Z psem i siecią polowano w ten sposób na kuropatwy od św. Jadwigi (15. Października). Siecie były zastosowane do pory roku, w jesieni na ścierni używano szarej barwy, w zimie białej. Łowiono tak zające, kuropatwy, przepiórki, a nawet cietrzewie. Do myśliwstwa ptaszego należały rozmaite przybory i siecie, które niżej opiszę. Lepy robiono z jemioły lub z oleju konopnego.

Do większego polowania na grubego zwierza używano wiele psów, naganiaczy, wielkich sieci. Prowadzono złaję zesforowanych psów cicho do kniei, a puszczano je dopiero wtedy, gdy zwierz sam ruszył lub łowiec świeże tropy znalazł. Król posiadał liczne psiarnie w całem państwie umieszczane

w pobliżu kniei. Za przykładem króla szła można szlachta, a później i chudopachołki, siedzący na jednej wsi lub kilkudziesięciu dymach, chowając po swych dworach liczne psiarnie. Używano chartów, gończych, brytanów, psów bobrowych i kundlów. Z czasem wyrodził się w tym kierunku t. j. w utrzymywaniu licznych i doborowych psów ogromny zbytek. Czyste rasy psów sprowadzano z najdalszych krajów i płacono za nie bajeczne sumy. Wyżły i gońce sprowadzano z Hiszpanii, charty z Irlandyi, Kurlandyi i ze wschodu od Tatarów. Zamożność właściciela ziemi wykazywała liczny orszak bogato i strojnie ubranych strzelców, który to zbytek obłożony został w r. 1552, a następnie stale w r. 1564 podatkiem po 4 groszy od głowy, jakoteż liczna ilość psów i sokołów. Za kradzież psa ustanowiono karę 6 grzywien, podczas gdy chłopska głowa tylko 10 grzywien kosztowała.

Używano do łowów rozwaitych przyrządów i sposobów. W celu złowienia orła przymocowywano gęś, innego ptaka albo mięso jakiekolwiek, a gdy się z niem oswoił, stawiano siatkę. Piór orlich używano do strzał, a wraz z bocianiemi, żurawiemi do skrzydeł usarżów, chowano też dla pierza orły, które wypierzają się dwa do trzech razy w roku. Za pomocą gołębia i sieci łowiono sokoły i kanie. Przepióry były piszczałki, wydające głos podobny do piskania przepiórki samicy, na który zbiegały się samcy, łowione w siatki. Piszczałki te robiono z drzewa lub kości. Słowiki łapano w dołkach, wykopanych w ziemi, korą przykrytych, a jako przynęta służyły mrówki lub robaczki mączne. Drażnieniem chowanej sojki zwabiano jej towarzyszki z lasu, i łowiono je w siecie, potrzaski albo na lep.

Zastawiano różnorodne sidła. Ponoże były sidła chwytające za nogi, zastawiano je na gniazdach. Prężynę sidło zakładano w końcu lub w połowie nagiętego i lekko do ziemi przymocowanego pręta. Gdy ptak przesunąwszy głowę przez sidełko dalej się poruszał, wzruszał też sidełko, wygięty patyk podnosił się do góry, pociągając za sobą ptaka i dusząc go. Sidełko to zwano też cewką. Sparek był to ptaszek oparty dziobem i ogonem na przyrządzie łatwym do poruszania za pomocą pociągnienia sznurka. Zakładano go w pobliżu miejsca zasadzki na ptaki, i miał zadanie przywabiania przelatujących ptaków. Były też wielkie spary, także krzyżowymi zwane z dwoma lub trzema ptakami, umieszczano go w znaczniejszej odległości, zwracały one uwagę ptaków, podczas gdy mały spar działał w miejscu zasadzki. Za przynętę służyły rozmaite ziarna, a przynęta ta zwała się postrzałą. Jako wabika używano też żywych ptaków, a w takim razie waby przynęcały głosem, posadzeje zaś tylko swym kształtem. W obu razach były to ptaki, jakie ułowić chciano. Cienie były ptaki malowane albo wypchane, przywabiały one także ptaki na zasadzkę. Miejsca, gdzie przynęta w lesie się znajdowała, nazywano gumienkiem, nęciskiem, pólkami ptaszniczemi, gaikami. Kij, na którym pręciki z lepem umieszczano zwany starkiem lub stareczkiem. Potrzask u Crescontyna rozczepem zwany, był przyrząd, którym ptaka siadającego nań za nogi chwytano. Składał się z czterech lub półpięta lasek u jednego końca związanych, przechodzących w rękojeść. Laski te mogły się roztwierać, na końcach miały kółka, od których sznurki przez otwor w rękojeść przechodziły i w ręce ptasznika spoczywały. Potrzaska używano na mniejsze ptactwo. Szater, szaterek, jathka była budka, w której się ptasznik ukrywał i z łatwością przenosił ją z miejsca na miejsce. Miała dwa otwory, jeden „którym głowę będziesz wyszczyniać“ przy noszeniu, drugi „co nią sówkę będziesz wymiatał“. Z nim razem zakładano potrzask, a wabikiem była sowa, albo też wabił ptasznik sztucznie za pomocą piszczałek „kuwieczek“. Często stawiano dwa szatry, z których jeden służył tylko do naśladowania głosów, używano ich głównie na sojki. Sieci krzowe z pomocą wielkich i małych sparów, używane były do łowienia mniejszego ptactwa, jak zięb, makolągw, czyżów, jamiołuchów, kwiczołów i t. d. Siecie podgayne zastawiano pod gaikami, śród krzaków, wystawione na pełne promienie słoneczne. Tam ustawiano obok żywych suche drzewka, na które chętnie mniejsze ptactwo siada. Do wabienia służyły spary i żywe ptaki, często też ostawiano takie miejsca lepem. Lep wyrabiano z jemioły klonowej lub brzozowej z największych konarów. Starano się, by był lepki i tęgi, wymywano należycie laseczki wodą ciepłą i obwijano je nim; laseczki te wkładano następnie w dziurki „starka“ i stawiano w miejscach, gdzie się najwięcej ptaków gromadziło. Lepem łowiono również przy sowach.

Włóczek, sieć nakształ więcierza, przymocowana na długiej tyce, przykładano ją do otworu dziupła w drzewie, a uderzeniem wystraszano zwierzynę, która wpadała w siatkę. Tyczkę zwano tykło.

Wątor rodzaj wędki, którą łowiono wodne ptactwo. W tym celu zabijano w wodę pal, a na nim umieszczano krążek równo z powierzchnią wody. Na krążku układano kilka kamyczków, każdy z nich był z wędką połączony, na której końcu były śledziona lub płuca cielęce, nie tonące w wodzie. Kaczka połykała ponętę, szamocąc się następnie ściągała z krążka kamyk, który spadając dusił ją wciągnieniem do wody i nie odstraszał inne ptaki. Na takim krążku zastawiano również sidła na kaczory.

Drygubice lub podrgubne sieci, dzisiaj pod nazwą „płotków“ znane, składały się z trzech części, sieci środkowej „jądra“, „płótna“, obwisłej i dwóch części otaczających średnią, napiętych. Używane były na chruściele, przepiórki, kuropatwy, kaczki i jarząbki.

Saki długie sieci kształtu długiego worka, używane na kuropatwy, w których one nie więzły, lecz do innej sieci z saka były wypędzane.

Przepierzyce, jak nazwa wskazuje, używane na przepiórki, były barwy zielonej.

Taynik, ponika, brożki sieć, którą kuropatwy łowiono, układano w formie piramidy, wierzch jej przesuwał się za pomocą pierścienia po wetkniętym w środku kiju, i gdy kuropatwy weszły pod sieć, spuszczano ją za pomocą sznura na dół.

Siecią kutnia łowiono ptactwo z pomocą wabia w środku siatki umieszczonego, lecz łowiectwo to było „barzo trudne“.

Sieci pajęczyny używano do łowienia ptaków wolno w powietrzu latających. Ustawiano ją na wysokich tykach, a ptak przelatujący uderzywszy w nią łowił się, przyczem siatka po słupach na dół się usuwała. W lesie śród błot wycinano wąską drożynę od jednego błota do drugiego, a w środku jej w wysokości drzew ustawiano owe sieci. Przelatujące ptaki łowiły się w nich.

Przy sieciach wielkie poły używano wabików żywych jakoteż sparów wielkich. Składały się z dwóch połów,

daszkowato się z sobą stykających. Zamykano je za pomocą mechanizmu ze sznura, którego koniec ptasznik, ukryty w wroniej budce, w ręce trzymał. Wronia budka taka, jak dzisiejsza, była małą skrytką, do pewnej głębokości w ziemię wkopaną, z wierzchu złudnie drzewkami pokrytą. W niej ściągano sznur lub bito ptaki przy puhaczu.

W wieku XVII. wyginęły zupełnie tury i odtąd je wyłącznie w zwierzyńcach gdzieniegdzie chowano. Znajdowały się one w puszczy Jaktorowskiej. Żubry o wiele liczniejsze były w Polsce, mianowicie w lasach ziemi Krakowskiej, Sandomirskiej, Rawskiej, Mazowieckiej, Wielkopolsce i w Prusiech, osobliwie zaś w puszczy Białowieskiej. Na tury polował tylko król i nikomu nie wolno było pod karą śmierci ani ich łowić, ani zabijać. Nadania dóbr miewały klauzulę wyjmującą tury z pod prawa własności, jak np. Ziemowit, Kazimirz i Władysław, książęta Mazowieccy pozwalają dziedzicom Dmosina, braci Kopaczom, wszelkie łowy w obrębie swych posiadłości, z wyjątkiem turów i sokołów. Dopiero w r. 1539 opuszcza Zygmunt ten warunek. Puszcza Jaktorowska, w której tury przebywały, łączyła się z jednej strony z lasami nad Skwią, z drugiej przez lasy pomiędzy Narwią i Bugiem z puszczą Białowieską i innemi puszczami Litwy. Wedle lustracyi z r. 1550 rozciągała się ona 2 ½ mili wzdłuż, 2 mile w szerz. Włościanie wsi Jaktorowa wolni byli od robocizny, musieli natomiast siano zbierać dla turów (Lustracya z r. 1538). Według lustracyi z roku 1564 miało być w puszczy 22 krów starych, turów młodych 3, cieląt 5, starych turów samców 18. Ponieważ bydło włościan rozpraszało tury, zakazano zapędzać bydło tam, gdzie się one przechowywały. Lustracya z r. 1599 wykazuje turów tylko 24, i mówi, że „albo zabijają się sami, a nie mała część pozdychała przeszłej zimy". W roku 1602 były już tylko 4, z tych 1 krowa, w r. 1620 tylko jedna turzyca, a w lustracyi z r. 1630 już wcale turów nie było (Ateneum 1876 A. Wrześniowski). Znikły tury, liczniejsze były żubry, lecz i na nie zabroniono polować pod karą śmierci w końcu XI. w. z powodu ich rzadkości, Najgłówniejsze łowy na żubry odbywały się w wiekach XII. i XIII. Utrzymały się dotychczas otoczone opieką prawa jedynie w puszczy Białowieskiej, gdzie ich liczba ma dochodzić do 600. Polowanie na nie w onych czasach z łukami i oszczepami połączone było z niemałem niebezpieczeństwem, sława też wieńczyła zwycięscę. Rogi w srebro okute chowano na pamiątkę, a podczas uroczystości używano jako puharów. Królowie nasi starali się rozmnożyć tury i żubry, i tak jak we wsi Jaktorowie były osobne osady, których mieszkańcy obowiązani byli zbierać w lasach siano dla hodowania ich w zimie. Nad wykonaniem tych obowiązków mieli czuwać starostowie grodowi. Mimo jednak ochrony, mimo dostarczania siana, zakazu niepokojenia ich, zabijania pod karą śmierci, znikł tur z początkiem w. XVII. i żyje tylko w tradycyi, dającej obraz trudnych na niego łowów i groźnej jego postaci. Żubry jeszcze istnieją, lecz czy ich los tura nie spotka, czas wykaże. Nowoczesne wymagania gospodarstwa lasowego nie sprzyjają ich bytowi.

Kiedy w późniejszych czasach lasy się coraz bardziej przerzedzały i brak zwierzyny czuć się dawał, urządzali królowie i magnaci zwierzyńce, które jako rozpłodniki i dla przyjemności służyć miały. Zygmunt III. miał zwierzyniec o dwie mile od Warszawy, był ogrodzony i zawierał w sobie tury, żubry, niedźwiedzie, dziki, jelenie i daniele. W środku stała altana, z której do zwierza strzelano. (Ateneum 1876. A. Wrześniowski). W Przemyślu był wielki zwierzyniec królewski, zawierający wszelkie gatunki zwierza. W Krzepicach w Sieradzkiem był ogromny zwierzyniec, założony przez Mikołaja Wolskiego, Marszałka w. kor., w którym oprócz innego zwierza znajdowało się 1600 danieli. Ciągnął się on wzdłuż na ¾ mili, wszerz na pół, otoczony parkanem. Do czuwania nad nim obowiązani byli zagrodnicy przyległych wsi Iwanowice, Złochowice, Opatów i Dankowice. W Białej na Podlasiu rozlegał się zwierzyniec książąt Radziwiłłów, zawierający do 1000 sztuk jeleni, denieli, łosi i sarn. „Nie było możnego domu, któryby zwierzyńca swego, czyli, jak Petrycy się wyraża, obory zwierząt nie miał". (Siarczyński, Obraz wieku Zygmunta III.).

Ks. Hieronim Radziwiłł wyprawił dnia 16. Stycznia 1759, przy inwestyturze królewicza Karola na księcia Kurlandzkiego, zamknięte łowy między Szulcem a Ujazdowem, gdzie znaczną ilość zwierzyny ze wszystkich stron sprowadzono. „Za przyjazdem króla Augusta III. z królewiczem rozpoczęło się polowanie: puszczono 14 lisów, wilków 25, dzików 23, łosiów 8, niedźwiedzi 3, padło zaś w drodze zwierza sztuk 44. Myśliwi książęcy, których było 24 oprócz strażników 60 barwami przybranych, mający dzidę i strzelbę, psami zwierza napędzali przed altanę. Dzików, gdy król kilka ubił, kawalerowie dystyngowani brali na oszczepy". (Czasy Augusta III.).

Początki onych mateczników zwierzęcych, służących dla przyjemności i dla rozpłodzenia zwierza łownego, sięgają bardzo dawnych czasów i mają swoją historyę. Najdawniejsze wzmianki o nich znajdujemy u Persów, którzy je starannie urządzali i w nich wielką ilość zwierzyny hodowali. Od Persów przeszło urządzanie zwierzyńców do Greków, a mianowicie do Spartanów, od nich zaś do Rzymian. U tych wyrodziły się były w nadzwyczajny zbytek i miały cel dostarczać kuchni rzymskiej zwierzyny, dzikich zwierząt do cyrków i igrzysk. W nowszych czasach, t. j. w średnich wiekach i wiekach zbliżonych do naszej epoki miały zwierzyńce podwójne przeznaczenie, służyły dla przyjemności właścicieli, dla polowania i rozmnażania zwierzyny, obok tego zaś dla celów naukowych. Toż i dziś jeszcze w miarę jednego z tych celów bywają urządzane, i według potrzeby hoduje się w nich zwierzynę. Są gatunki zwierzyny tylko w zwierzyńcach chowane, jak np. daniele lub też przechowują się w nich zwierzęta, należące już do historyi np. bobry.

Nie małą też rolę w naszem myśliwstwie odgrywało sokolnictwo. Właściwą ojczyzną tego rodzaju polowania był wschód, skąd do Greków, a później do innych narodów przeszło. Już w pierwszych wiekach zajmowano się sokolnictwem, znano sposoby układania sokołów, leczenia ich chorób. W listach Aequili, Lymmacha i Teodotiona do Ptolomeusza Filometora opisane są choroby sokołów i środki zaradcze przeciw nim. Ludy wschodnie w ogóle zajmowały się bardzo sokolnictwem, jak Arabowie, Persowie, Tatarowie. U tych ostatnich dziś jeszcze bywają układane sokoły do polowań na gazele (J. Szytler, Przewodnik dla myśliwych). Ze wschodu przyszło sokolnictwo na zachód. U Germanów już za Karola W. było ono w wielkiem poszanowaniu, najbardziej się rozwinęło za Hohenstaufów. Każdy szlachcic miał, a nawet musiał mieć przy sobie sokoła, bez niego nie wolno mu się było nigdzie pokazywać. Sokoł należał do klejnotu szlacheckiego, a polowanie z nim

uważane było za najszlachetniejsze i tylko rodzinom możnym przysługujące. Pisano wiele o sokolnictwie, a nawet królowie sami dawali rady, jak sokoły utrzymywać. Frydryk II. w książce: Das Jägerbuch (tł. Welsera) napisał: *De arte venandi cum avibus* (O sztuce polowania z ptakami) Augsburg 1596. W równym czasie rozszerza się sokolnictwo i w innych krajach, w Polsce, Francyi, Włoszech, Hiszpanii, tu osobliwie za czasów Arabów. W XVI. wieku stoi sokolnictwo u szczytu swego rozwoju. W tej mierze przodował dwór francuski za Ludwika XIV. Był ustanowiony honorowy urząd królewskiego dworskiego nadsokolnika, który w wielkim był znaczeniu i wiele miał pod sobą ludzi i sokołów. Za przykładem dworu idzie można szlachta, u której także łowczy sokolnik w wielkiem był poważaniu.

(Dokończenie nastąpi.)



POLOWANIE NA DZIKIE GĘSI I KACZKI

PRZEZ

WŁADYSŁAWA KOTKOWSKIEGO.

Jako dodatek do pięknej pogadanki p. W. D. pod tytułem: „Kaczki", w Kalendarzu naszym z r. 1884, podaję opis polowania na dzikie gęsi i kaczki, podług mego 10cio letniego doświadczenia na 14stu większych i mniejszych stawach, jakie się tu na Zbruczu i w pobliżu tegoż znajdują.

Gęsi dzikich mamy we wschodniej Galicyi dwa gatunki, mianowicie: gęś zwykłą siwą całkiem do swojskiej podobną i gęś znacznie od pierwszej mniejszą, tu przez myśliwych „sybirską" zwaną. Pierwsza gnieździ się na większych i mniejszych stawach wschodniej Galicyi, Wołynia, Podola rosyjskiego itd., druga przelatuje tylko z wiosną do gubernii Archangielskiej i Syberyi, tu się bardzo mało zatrzymując dla pożywienia i odpoczynku, a to stosownie do ciepła od końca lutego do pierwszych dni kwietnia, skąd w jesieni powraca. Na wiosnę ukazują się u nas oba gatunki prawie jednocześnie. Gęsi siwe przyleciawszy na wiosnę w te strony, żyją kilka tygodni nieraz w stadkach od 6—30 sztuk, chodząc nad brzegami stawów po łąkach, wierzchowinach (część górna stawu zarośnięta oczeretami itp.); lecą na oziminy, gdy są już odkryte, na wodę, gdy stawy pozbyły się lodów, lub na rzeki, gdy pierwsze jeszcze pokryte lodem. Nie płoszone nocują zawsze na brzegu nad samą wodą, płoszone zapadają na noc na stawy na środek plesa, podpływają jednak w nocy najchętniej pod brzegi i nocują na wodzie płytkiej stojąc na dnie; gdy się zaś je często niepokoi, pod oczerety. W miarę wcześniejszej lub późniejszej wiosny dzielą się te stadka siwych gęsi na pary w Marcu, najpóźniej w pierwszych dniach kwietnia; pary te jednakże rzadko od siebie daleko odchodzą, chyba gdy sobie ścielą gniazda. Ścieli je zawsze gęś w wierzchowinach stawu, na spławach (kępiny większe i mniejsze pływające), gdzie się trudno dostać tak czółnem jak piechotą. Gniazda te są usłane ze starego oczeretu i szuwaru do 50 cm. nad wodą. Z początku widzieć je można z brzegu, później nikną w zaroślach, bo oczeret, cebulka, tatarak szybko wzrastają. Uważałem, że gęś jaja najczęściej rano składa; spostrzegłem mianowicie raniutko, że z 8miu gęsi, które widziałem codziennie na stawie w Zadnieszówce, lub w pobliżu tegoż, 4 brakuje. Gęsi te szanowałem i chroniłem od kłusowników, dochodziłem więc, kto mógł je ubić, ale wyszedłszy we dwie godziny nad staw, ujrzałem znowu 8 sztuk. Zacząłem je codziennie obserwować i przekonałem się, że gęsi odchodziły do gniazd co rana i niosły jaja. Skoro gęś nieść się przestaje, jaj zaś składa 6—8, nigdy więcej, ginie dla oka, żerując tylko bardzo rano i późno wieczorem koło gniazda. Gęsiory łączą się razem i żyją jak przedtem przelatując na oziminy, nawet na sąsiednie stawy. Każdy z nich jednak dobrze o gnieździe swej połowicy pamięta, bo skoro tylko wykłują się gęsięta, to już i gęsior niknie. Młode po wylęgnięciu pozostają ciągle pod opieką i obroną starej pary, dopóki nie są lotnemi; nadzwyczaj je trudno ujrzeć, bo żerują tylko po oczeretach, później gdy podrosną, wychodzą raniutko i późnym wieczorem na łąki i pobliskie pola, przesiadują największą część dnia i nocy na raz obranym spławku, najczęściej na kilku snopach oczeretu pozostałego ze zimy, gdzie się czyszczą z pałek. Skoro w Lipcu mogą latać, wyprowadzają je stare z krzykiem na czystą wodę (plese) i pola, trzymając się najczęściej w swojem stadku, nie odlatując na inny, nawet blisko położony staw, póki strzałem nie są popłoszone. Skoro się strzeli do stadka, odlatują na inną wodę. Jeżeli padło które z młodych lub stara, powracają rano i wieczorem przez 3—4 dni na to miejsce z wielkim krzykiem szukając zabitych; gdy zaś padły obie stare, młode najczęściej uciekają na skrzydłach do oczeretu, gdzie po pół godziny zaczynają się wabić i łatwo padają ofiarą cierpliwego myśliwego; w razie zaś przeciwnym łączą się z innem stadkiem, a jeśli go nie ma na tym stawie, wychodzą na brzeg do swojskich gęsi i padają ofiarą chłopów.

Młoda gęś złapana lub z jaja podłożonego pod gęś domową wylęgnięta oswaja się prędko i jest bardzo łaskawą, nie okazuje nigdy ochoty do ucieczki. Na Wołyniu we wsi Manatczynie, gdzie chłopi setkami wybierają jaja z gniazd gęsich, można widzieć pomiędzy gęsiami domowemi po kilkanaście gęsi dzikich, są one zawsze zgrabniejsze nieco od swojskich i przez całe lato do późnej jesieni żerują na stawie lub u brzegów jego, dniując i nocując, a nigdy nie trafiło się, aby która uciekła. Z początkiem Sierpnia zbierają się małe stadka gęsi w większe gromady od 30—150 sztuk. Do tych przyłączają się gęsi jałowe, t. j. te, które nie miały pary, lub którym jaja zabrano lub zniszczono. Szczególniej w Rosyi jest takich gęsi dużo, bo tam w wielu okolicach istnieje barbarzyński zwyczaj wypalania nieskoszonego oczeretu, przez co psują jaj tysiące. Żyją gromadnie trzymając się przeważnie łąk i pól, na staw zaś lub polne jeziorka zapadają tylko kilka razy na dzień w celu pojenia się, najczęściej w jedno miejsce, i na noc. W drugiej połowie Sierpnia zaczyna się przelot zwykłych gęsi,

które się po kilka i kilkanaście dni zatrzymują w pobliżu większych stawów. Ciągną cicho, krzycząc tylko w pobliżu wody.

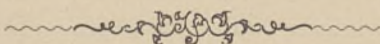
Polowanie na zwykłe gęsi jest dość mozolne dla niedoświadczonego myśliwego, łatwe dla znającego ich naturę. Na wiosnę, gdy mrozy trzymają, zastaje się czasem gęsi na rzekach nawet małych. Gdy rzeka ma brzegi wysokie, łatwo je podchodzić, bo gęś mniej ostrożna od kaczki, gdy myśliwego nie widzi. Na łąkach dają się łatwo podjeżdżać wozem, na stawach czółnem, ubranem oczeretem. Często także nadlatują na strzał rano i wieczorem, gdy myśliwy stoi ukryty na ciągu kaczek. Przy jednej gęsi na wiosnę można ubić kilka gęsiorów, bo ta powraca zawsze w swoje miejsce, a gęsior przyłącza się do niej najdalej drugiego dnia po zabiciu pierwszego. Gęsiora odróżnić łatwo po dłuższej szyji i po tem, że zawsze pierwszy się zrywa. Z początkiem Sierpnia aż prawie do końca Września łatwo gęsi zastać bardzo rano pod brzegiem stawu, idąc pod wschód widać je dobrze, gęsi zaś pod zachód nie widzą. Dwa wprawdzie można tylko zrobić na nie strzały, ale te zwykłe kładą wiele sztuk, bo gęsi stoją gęsto. Najprzyjemniejsze i najskuteczniejsze polowanie na ten gatunek gęsi jest jednak ciąg dzienny i wieczorny. Aby na ciąg dobrze trafić, t. j. stanąć w miejscu, na które gęsi zapadają, najczęściej większe halawy (czyste miejsca pomiędzy oczeretami), potrzeba koło godziny 6. rano pojechać łódką na staw, objechać halawy, przypatrując się, na której z nich są gęsie pióra, oraz pozjadana cebulka i oczerety. Koło 9. godziny rano już gęsi ciągną na staw, stadko za stadkiem, tak że odtylcówkę potrzeba prędko nabijać, by być gotowym do szybkich strzałów. Wieczorem na noc ciągną po zachodzie słońca aż do zupełnego zmroku. Śrót na gęsi najodpowiedniejszy nr. 2—0. Drobniejszy kaleczy. Gęś zbarczona płynie szybko do oczeretu, prześladowana czółnem dobrze nurkuje. W oczerecie najczęściej zamota się i tak ginie, jeżeli zaś z oczeretu wydostać się potrafi, to najdalej drugiego dnia wychodzi na brzeg do swojskich gęsi, gdzie ją pastuchy łapią lub zabijają. Mięso gęsi smaczne, delikatniejsze od swojskiej, nie czuć go nic dziczyzną. Ze starych jest za twarde i potrzebuje bajcowania i skropienia czerwonem winem, aby skruszało.

Jak wyżej powiedziano, przelot czyli odciąganie gęsi zwykłych zaczyna się u nas, na Podolu, w drugiej połowie Sierpnia. Za pojawieniem się pierwszych sybirek odlatują wszystkie tak, że tylko wyjątkowo siwe gęsi, podczas przelotu sybirek, zobaczyć można. Drugi gatunek gęsi, tu sybirkami zwany, pojawia się na wodach granicznych najwcześniej 20., najpóźniej 29. Września. W 10ciu latach bez względu czy było ciepło czy zimno, wyjątku innego nie widziałem. Gęsi te przylatują wielkiemi stadami, ciągnąc krzyczą, przebywają na wodzie tylko wyjątkowo, żerują na oziminach i ścierniach. Poluje się na nie podjeżdżając w polu wozem, przyczem najlepiej przebierać się za wieśniaczkę, w takim stroju wjechałem już kilka razy pomiędzy gęsi. Na stawie poluje się tylko wieczorem, w nocy i raniutko. Wieczorem potrzeba się schować w oczeret z łódką, a gdy gęsi po zachodzie słońca przylecą na nocleg i staw obkrążają, często zbliżą się na strzał pewny, gdy zaś zapadną, zwykle na środek płesa (woda na stawie nie zarośnięta szuwarami), na średniej wielkości halawy zapadają czasem podczas silnej burzy — potrzeba czekać aż się dobrze zmierzchnie, a wtenczas jechać czółnem do gęsi od wschodu pod zachód. Łódką powozić potrzeba ostrożnie, cichutko, popycha się ją tylko z tyłu nie wyjmując wiosła z wody. W ten sposób można dojechać na 30—50 kroków. Strzela się, gdy stary gęsior ostrzegać pocznie: „gek, gek“ raz do siedzących, drugi raz w lot, nie trzeba się jednak spieszyć z drugim strzałem, bo się zawsze zgóruje. Najlepiej jechać czółnem dużem, na którem może bezpiecznie siedzieć trzech i więcej myśliwych. Na dwa strzały udawało mi się ubić 7—11 gęsi. W nocy dobrze gęsi podjeżdżać pod księżyc, gdy wschodzić zaczyna. Raniutko łatwo je zejść na brzegu, tak jak siwe gęsi lub podjechać czółnem, bo te gęsi nocują także jak pierwszy gatunek, t. j. pod brzegiem lub pod oczeretem. Podczas wiatru lub w nocy jasnej gęsi się podjechać nie dadzą. Jeżeli gęsi nocuje mało, zachowują się cicho, gdy więcej stad, to krzyczą przez noc całą tak, że je na pare kilometrów słychać. Napędzałem je także ogniem, t. j. schowawszy się w oczeret stawiłem chłopca na brzegu, a gdy gęsi zapadały na środku stawu, to chłopiec zapalał słomę, a gęsi zrywały się z krzykiem i padały blisko oczeretu, albo szybko płynęły ku mnie.

Na wielkich stawach, jak w Manatczynie, wymiar płesa samego wynosi przeszło 900 morgów, a są halawy wielkości średnich stawów, zapalają ognie na czystej wodzie, aby gęsi bliżej oczeretów i na duże zapadały halawy. Tam gęsi taki krzyk sprawiają, że strzał głuchnie i można przez całą noc nawet najciemniejszą strzelać. To też tam ginie gęsi bardzo dużo, bo nie rzadko się trafia, że nocuje kilkadziesiąt tysięcy gęsi. Mięso tej gęsi jest delikatniejsze i nieco ciemniejsze od poprzedniej. Zbarczona zachowuje się jak pierwszy gatunek, jest o wiele zgrabniejszą od tamtej. Oswaja się łatwo. Widziałem gęsiora zbarczonego, który nigdy latać nie mógł, parował się z gęsiami swojskiemi, gęsiąt bronił pędząc za psami i przechodniami. W jesieni, podczas odlotu sybirek, spoglądał w górę do gęsi i ku nim się odzywał. Czy byłby za niemi podążył, gdyby miał skrzydła? Zapewne. Brałem go na staw, ale na jego głos przelatujące gęsi nie zwracały uwagi.

Sybirki zatrzymują się tu prawie cały miesiąc, pomiędzy 20.—28. Października najliczniej odlatują, w Listopadzie bardzo rzadko trafiają się mniejsze stadka.

(Dokończenie nastąpi.)



MYŚLIWI ZIEMI SANOCKIEJ.

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

(Dokończenie.)

Nazajutrzu o świcie zwinąwszy cały obóz ruszono w Beskid; ku właściwym Beskidom nie było zbyt blisko. Aby półmilową przestrzeń manowcami, przez góry, potoki i jary przebyć w trzech godzinach, trzeba mieć dobre nogi, silne piersi i wprawę górala. Tyszkowski, jak zwykle, odbywał pochód konno, z nim jechali Przemyślanie i p. Leon na swej chudej, znanej w całem Sanockiem siwej kobyłce. Reszta 18tu Sanoczanów szła pieszo. Śniegu jeszcze wtedy nie było, jednakowoż Osuchowski otropił stado dzików w miocie, więc tam zamierzono zacząć tego dnia. Cały miot przeważnie porośnięty był buczyną, o jakiej mieszkańcom dolin ani się marzy. Miejscami był miot podszyty młodą buczyną i świerczyną. Poczęto się rozstawiać pragnąc ile możności otoczyć strzelcami miot, w którym zaległy dziki, „napaćkawszy" (najadłszy) się do syta bukwi, która w tym roku suto obrodziła. Psiarczyki z trzema drążkami wyborowych kundli Tyszkowskiego i tropowcem Terleckiego ruszyli w stronę, gdzie na dane hasło miano podłożyć naprzód tropowcem, a gdy ten ogłosi trop, spuścić z drążków kundysy. Jędrzej Osuchowski jako najdokładniej znający knieję, objął kierownictwo i wyznaczał stanowiska myśliwym. Miot ów oddzielony był od dalszego ustępu głębokim jarem, z spadzistymi brzegami, którędy dziki przemknąć nie mogły, łatwiej więc było resztę miotu strzelcami obstawić. Cała drużyna myśliwych i górali, uzbrojonych w drągi i siekiery gubili się pozostając na wskazanych stanowiskach. Nie wiem który już numer z kolei padł na syna Osuchowskiego, młodziutkiego Bronisława. Zaledwie stanął i począł rozpatrywać się na swem stanowisku, wypala z jednej lufy, a po strzale wypada z gąszczy duży niedźwiedź na gromadkę postępujących ludzi i podrążkowane kundle. Napad ten był tak gwałtowny i niespodziewany, że psy splątawszy się ze sobą między niedźwiedziem, dwoma psiarczykami i kilku chłopami podcięły ich drążkami i poprzewracały na ziemię. Przez chwilę był to jakiś żywy kłąb, bezładnie tarzający się po ziemi. Niedźwiedź pierwszy wydobył się z tej gmatwaniny, lecz wnet ugodził go celnym strzałem śmiertelnie myśliwy p. Tergonde. Bronisław Osuchowski opowiadał, że zboczywszy kroków kilkanaście w celu obrania dogodnego stanowiska, zbliżył się właśnie do wywrotu olbrzymiego buka, z którego w tejże chwili wysuwa się niedźwiedź. Posłał mu kulę, ale na drugi strzał już nie było czasu, bo niedźwiedź wpadł w gąszcz, a następnie między psy i ludzi. Po tych strzałach nadbiegli myśliwi ze stanowisk wraz z Tyszkowskim, który miał zamiar skarcić owe lekkomyślne strzały, psujące całe polowanie, lecz ujrzawszy sporego mysia rozciągniętego na ziemi, rozpogodził zachmurzone oblicze. Przy oględzinach okazało się, że oba strzały były trafne, ale Bronisław trafił w udo, a Tergonde w samą komorę. Po niejakim czasie zajęli myśliwi swe stanowiska. Obowiązkiem chłopów było postępować za psami w oddaleniu, w celu powstrzymania dzików. Dojeżdżacz stanąwszy na wskazanem miejscu dał hasło podłożenia tropowca i odebrał odezwę trąbki Jędrzeja Osuchowskiego. Funkcyę dojeżdżacza pełnił myśliwy Terleckiego, Kozarecki, dziś jeszcze żyjący, podówczas mający już z okładem lat 60. Mimo podeszłego wieku i pozornie wątłych sił, na łowach przeobrażał się w młodzieńca pełnego sił i szczególnej pasyi do podkładania psów. Śród stromych gór, urwisk, jarów i tysiącznych przeszkód, Kozarecki zawsze znajdował się w pobliżu za goniącą złają. Był on i jest dziś jeszcze mimo lat ośmdziesięciu kilku mistrzem w podkładaniu psami, strzelał dobrze, łgał jeszcze lepiej, a najlepiej znał dzieje sanockiego łowiectwa, jakie zapamiętał w ciągu swego długiego życia. Sługując po wszystkich niemal dworach szlachty sanockiej, znał dokładnie ich rodowody, co go jako szlachcica zagonowego mocno interesowało. Dzieje wszystkich polowań, w których uczestniczył, pamiętał dokładnie, kto na nich był, co ubił, nawet gdzie stał, również nazwiska wszystkich nieżyjących już myśliwych sanockich lub przybyłych z obcych stron. W opowieściach starym szlacheckim obyczajem wymieniał nieboszczyka p. Feliksa z Krywego, Alberta z Tworylnego, Adama z Rabego, Jana ze Smolnika, Jędrzeja z Dydiowy.

Porzućmy na chwilę owego ciekawego starca, zejdziemy się z nim na polu jego opowiadań, i wróćmy do miotu, w którym on z kilku drążkami kundlów i tropowcem ruszył w celu wyruszenia dzików. Hasło było już dane, rozpoczęło się dla myśliwych wyczekiwanie, które biskup Krasicki humorystycznie opisuje:

„Psy ucięły, jak na licho
Dwie godziny było cicho".

Kozarecki jak poszedł, tak i przepadł. Jaki taki z myśliwych zwątpił o jego umiejętności łowieckiej, pomyślał, że stary strudziwszy kości spoczywa i źle podłożył psami. Cisza była grobowa, bo w Beskidowej kniei nawet żaden z leśnych śpiewaków się nie odezwie, dzięcioł nie kuje, chyba raptem „studenka", wiatr zimny zawyje. Znachorzy miejscowi przypisują tę studenkę jakiemuś „łychu", złej istocie, nie mającemu ciała, lecz żyjącemu, a przebywającemu gdzieś w skałach, robiącemu „pakiść" (psotę). Toż gdy pocznie wiać ta studenka lub „fujawycia", rozbijając się o węgły hyż (chat), załomy skał lub konary drzew, to dla przebłagania onego łycha oprócz przeżegnania strony, z której wiatr wieje, sypią górale na ziemię szczyptę soli i garstkę mąki, które wiatr rozprasza, co wedle ich mniemania znaczy, że łycho „ziło", czyli przyjęło ofiarę, przytem dodają słowa:

„Łycho, łycho, łycho
Kołyś ziło, budy tycho".

Tego procederu zaklinania licha nauczyła mnie pod sekretem Kocurycha, wdowa po trzech mężach, gazdyni w Krywem, o której złe języki głosiły, że była czarownicą, a ona nie bardzo się tego zapierała. Dla tej *tertio voto* Kocurychy niech mi łaskawy czytelnik pozwoli nieco zboczyć od łowów, nim tropowiec bytność w miocie dzików ogłosi. Mężczyzni, a osobliwie kobiety w Krywem opowiadały mi, że ostatni mąż gazdyni, młody i przystojny juhas, którego zwabiła czarami (właściwie dużym gruntem, 6 wołami, 4 krowami i 20 owcami), sprzykrzywszy sobie dość prędko „u wdowy chleb gotowy", uciekł do Węgier, najmując się za parobka w okolicy Ungvaru, gdzie go widział parobek ze wsi Hulskie, służący tam z nim razem. Opowiadał on następujące zdarzenie: „Było to w lecie,

ja i Kocur nocowaliśmy na dworze, bo było ciepło, choć pochmurno, a ciemnota choć oczy wykol. Około północy budzi mnie Kocur i mówi: Pidu „domiw“, szczoś mene tam tiahne. Odpowiadam: Ostań do roku, pidem oba. A Kocur na to: Oj. szczoś mene nudyt, takoj muszu ity. I poszedł, a raczej „poniesło ho“ w noc ciemną, nawet czuhonię, za którą go przytrzymywałem, zostawił w mych rękach. Piszou ino tak w kożuszczu, poniesło ho ponad werchy Beskidu. To żinka jak stała chandriczyty, czarowaty, Hospod znaje szczo robyty, tak prynesło ho aż do Krywoho. Ludzie spotkali go spiącego na Magórze, a przyniosło go w ciągu jednej nocy. To były czary, jest na to sposób, ale kto go wie“. Trzeba umieć słowa zaklęcia i posiadać poświęcany nóż. Skoro kto spostrzeże, jak niesie człowieka, trzeba powtarzać słowa zaklęcia i wpychać ostrze poświęcanego noża w ziemię powoli. W miarę jak nóż grzęznie w ziemię, poczyna zniżać się ku ziemi niesiony mocą czarów człowiek. Gdyby nóż gwałtownie wetknięto w ziemię, upadłby też nagle człowiek i zabiłby się.

Po dość długiem czekaniu i pilnem nasłuchiwaniu rozstawionych myśliwych, ozwało się gdzieś w dali głuche szczekanie tropowca, to odezwie się, to zamilknie, jak to bywa, gdy tropowiec chwyci trop stada zwierzyny, która mnogie pozostawia tropy, powiązane z sobą, skluczone, bez wyraźnego szlaku, drogi, w którą się udała. Dobry tropowiec wpadłszy w taki labirynt wnet pozna co się święci, zgłosiwszy w zapale parę razy, nie łazi jak fryc gończak po „zboisku“, lecz poczyna zdala okładać, okrążać i wnet dojdzie szlaku, a po nim leżyska zwierza. Po niejakim czasie już nieco wyraźniej słychać było gon tropowca, który był ciągły, nieprzerywany, więc zwierz ruszył z miejsca. Okładanie nie długo trwało, albowiem ozwał się choralny gon drążkowców, które widocznie chwyciły zwierza na oko. Było to stado dzików, naprzód rączo pomykały przed psami, wodząc nimi, odsadzając się nawet nieco przed złają kundysów, poczem dobrawszy się do młaki, zmęczone, czując na piętach swych rozjadłe kundle, ukryły się w niej. Było w stadzie 13 sztuk. W gąszczu tym broniły się zacięcie, ile razy który odważniejszy pies zbliżył się naszczekując do olszniaków, wnet niby muszkiet z fortecznej strzelnicy wynurza się potężny gwizd (ryj) dzika i groźnie fukając godzi w śmiałka, lub chlasnąwszy na odlew wytoczy wnętrzności z psa. Przy atakowaniu tej twierdzy dzików padły dwa najdzielniejsze kundysy Tyszkowskiego. Jakkolwiek psy ostro atakują, dziki nie wychodzą z swej warowni. Po godzinnem, daremnem wyczekiwaniu uradzili myśliwi porzucić zajęte stanowiska i łańcuchem dążyć ku młace. Tak radził Osuchowski, Tyszkowski i kilku za nim byli przeciwnego zdania, więc gdy adherenci pierwszego poszli ku dzikom, pozostali drudzy na stanowiskach. Wkrótce przybyli chłopi w liczbie 20, których zadaniem było nie wypuszczanie zwierza z miotu. Kozarecki z trąbką w lewej, z dobytym kordelasem w prawej ręce, trąbieniem i podszczuwaniem zagrzewał kundysy do atakowania dzików. Stary ten myśliwy szczególniejszą miał pasyę przytaczania zdarzeń łowieckich z przeszłości, więc i tym razem spostrzegłszy zbliżającego się z kilkoma myśliwymi Osuchowskiego, rozpoczął gawędę wcale nie na czasie. „Pamięta pan Jędrzej, „rychtyk“ tak było w r. 1844 w Kalnicach, kiedy to postrzelił się był tak „paskudnie“ p. Felix z Krywego, że półtora roku lizał się z tego we Lwowie. Polujemy, psy trafiły stado dzików, achu, achu, achu! aż się dusza raduje, dziki chodzą „śliczności“, padł jeden strzał trafny, samura duża jak jałowica zaryła gwizdem ziemię po strzale nieboszczyka p. Sylwerego z Kalnicy. Palba była gęsta, cóż robią dziki? Jak nie wpakują się w gęstą młodą smereczynę, jak nie poczną smarować boki gończakom, bo kundysów nie było. Wyprzeć dziki ani rusz, podkładam psy tędy, owędy, ani weź, co tu robić? Wtem poczynają nadbiegać panowie z różnych stron, a w pobliżu za nami pada strzał! Oho! wołam, a co to, kto, do czego strzelił? Ale nie ma czasu medytować, więc ja huź! na psy, a były to psy, jakich nigdzie teraz nie ma, chyba u pana Jana ze Smolnika. Dziki zbiwszy się w kupę fukają, gwiżdżą ryjami, ale wyjść ot jak teraz ani rusz, więc co ja „robiwszy“, krzeszę ognia i zapaliwszy naręcz suchej smerekowej „szczeciny“, podpalam gęste smereki w miejscu, w które wpakowały się dziki. Smereczyna poczęła z szumem i trzaskiem gorzeć, pomogło, dziki zaczęły wymykać się z ogniska: naprzód wysunął się ogromny odyniec, kropnął go p. A. z Tworylnego, i to poza ucho, ten i ów trafił lub spudłował, dość, że padło 5 dzików. W gorączce zapomnieliśmy o p. Felixie z Krywego, aż pyta go p. Sylwery z Kalnic: A ty Felixie strzelałeś?— Oj! strzelałem, odpowiada, i ot trafiłem w prawą rękę.—Krew lała się strumieniem z ręki, choć obwinął ją chustką. Przelękli się wszyscy i zapomnieli o polowaniu; pytają jak, co, a on opowiada: Posłyszawszy, że psy osaczyły dziki, biegnę co tchu ze stanowiska, licho nadało ogromny wywrot, prawą ręką podpieram się dubeltówką, a nie pamiętałem, że kurki były odwiedzione, skaczę, wtem wypala mi w dłoń, a nabój wyszedł podobno powyżej łokcia, bo piecze strasznie i dziurę wywaliło w rękawie burki“. — „A dość już tego gadania, stary łgarzu“ — krzyknął Osuchowski. — Tym razem opowiadał Kozarecki najczystszą prawdę, zdarzenie to słyszałem z ust Łążyńskiego. — Co robić, dziki w żaden sposób z gąszczu wyjść nie chcą — „Podpalić, podpalić“ — wołają niektórzy. — „Czyście poszaleli, surowa, bez liścia olszyna nie będzie gorzała“. — „A no proszę łaski panów, mówi Kozarecki spróbujemy, a no chłopci, czuj duch w lis!“ — Poczęła się rąbanina, aż echo roznosi stuk siekier po kniei Narąbali sporo gałęzi smerekowych suchych i zielonych, i obłożyli niby wałem młakę z jednej strony. Kundle posworowano, żeby nie przeszkadzały, ale to było zbytecznem, bo zmęczone i poturbowane przez dzików ledwie naszczekiwały. Myśliwi, nim podpalono, obstawili się w półkole olszniaku. Wiatr dął w środek gąszczu i dym gęsty, gryzący wali się tam kłębami. Po niejakim czasie poczęły jeden za drugim w różnych stronach wymykać na niewielką halawkę, przylegającą do młaki. Gęste padały strzały, ubito cztery dziki, reszta uszła w stronę, gdzie psy podłożono. Otrąbiono zwycięstwo, nadbiegli myśliwi, którzy za radą Tyszkowskiego pozostali na stanowiskach, najpóźniej Tyszkowski z powodu astmy, która go w ostatnich latach życia trapiła. Trzech ze służby Tyszkowskiego pozostawiono na miejscu, a drużyna myśliwska późnym już zmrokiem ruszyła w pochód ku Dydiowy, gdzie ją gościnny Jędrzej Osuchowski może nawet nad możność suto przyjmował. Pochód był bardzo wesoły. Kozareckiemu przez całą drogę gęba się nie zamknęła, opowiadał różne prawdziwe i nieprawdziwe zdarzenia z dawniejszych czasów, lub sprzeczał się z panem Leonem B., który słusznie mógł być nazwanym obywatelem całego świata, bo na swojej siwej kobyle jeździł przez cały rok od komina do komina. Zetknięcie się dwóch dzielnych szermierzy na szable lub szpady niczem jest w porównaniu z tymi rycerzami językowymi, *alias* łgarzami i gadułami. Kozarecki opowiada i łże, p. Leon przeczy, prostuje fakta i zarówno łże, lecz jeszcze głębiej.

Że aż pochrypli obaj adwersarze
Kto z nich ma racyą, gdy obadwaj łgarze.

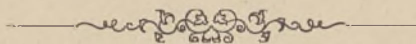
Nim zakończę tę moją gawędę, niech mi wolno będzie opowiedzieć jeszcze kilka ciekawych scen łowieckich. W duszy mojej dłużej jak w ostępach skalistego Beskidu odzywają się echa gonu psów, grzmotu strzałów, i najmilszej dla myśliwego muzyki rogów, tam one zamilkły, w duszy mojej żyją wspomnieniem. Był to rok 1879, Tyszkowski po raz ostatni w swem życiu polował w Beskidzie. Skołatane zdrowie nie pozwalało polować jak dawniej, więc mimo cierpień wyjeżdżał jedynie dla dogodzenia myśliwskiej namiętności, dla odświeżenia ducha w widokach wspaniałych gór, dla napojenia ucha najmilszem dla niego koncertem gry ogarów. Zamierzano polować w Beskidzie przy wsi Sokoliki wyłącznie na niedźwiedzia, których trzy otropiono na lekkiej październikowej ponowie w porze, w której niedźwiedź jeszcze stale nie gawruje, tylko wedle orzeczenia górali niedźwiedników „błanyka" się po górach, podchodząc nocą pod same chyże i chlewy, aby coś porwać. Najchętniej podkrada się do koszar wołowych i owczych. Układa się byle gdzie i zasypia pomrukując. Czasem coś pochwyci, częściej nic, bo niezgraba to i leniuch z natury, aż gdy spadną wielkie śniegi i chwyci mróz, wtedy dopiero włazi w jaskinię skalną, w dziupło drzewa, i już go aż wiosna obudzi. Wedle przysłowia górali tatrzańskich, gdy na Maryę gromniczną mróz, rozwala niedźwiedź budę, będzie wczesna wiosna. Przysłowie to nie ma żadnej podstawy. Niedźwiedzie, skoro spadną wielkie śniegi i ściśnie mróz, wpadają w sen twardy i długotrwały, mniej twardy jednak, jak borsuków i jeżów, sen ich jest raczej letargiem Z wczesną wiosną, skoro stopnieją śniegi, opuszcza niedźwiedź gawrę, oblegając gdziekolwiek. Dniem i nocą szuka żeru, pożerając co się nadarzy, ślimaki, owady i płazy, które umiejętnie wygrzebuje z mchów lub wnętrza ziemi przedniemi łapami. Zjada smarze, rodzaj gąbczastych grzybów, wyrastających zaraz po stopieniu śniegu, a w lecie wszelkie grzyby z wyjątkiem muchomora i purchawki, spożywa wszelkie jagody, jabłka i gruszki dzikie, jednem słowem niedźwiedź jest wszystkożernem zwierzęciem Zima mu pożywienia niedostarcza, stopy bose, więc układa się w gawrze i zasypia, z początku budząc się kilka razy dla wypróżnienia. Gdy zima mroźna, spi niedźwiedź bez przerwy, również gdy gawra jest głęboka i od promieni światła zupełnie ochroniona, w przeciwnym razie budzi się niekiedy. Więc do gawry, szczególnie starych niedźwiedzi, światło nigdy nie dochodzi, a leży ona zawsze po stronie północnej lub zachodniej. Lud, a nawet niektórzy dawniejsi przyrodnicy twierdzą, że niedźwiedź w gawrze ssie swoją łapę i tem się żywi. Twierdzenie to jest mylne. Niedźwiedź w każdej porze roku ma zwyczaj lizania swych przednich łap, najczęściej w celu zagojenia ran.

W Październiku zaledwie z lekka przyprószył śnieg, dostatecznym był jednak dla leśnych do wytropienia w Sokolickim Beskidzie trzech niedźwiedzi. Jeszcze nie gawrowały, więc szukać ich leżysk nie można było, należało inaczej szukać spotkania z nimi. Główną komendę nad wyprawą objął Jan ze Smolnika, a jego myśliwy, stary Kozarecki dowodził psami. Myśliwych było niewielu, oprócz wyżej przy łowach na dziki wymienionych był Adam Ziętarski z Rabego, dziarski młodzian i dzielny strzelec, przyłączył się też pan G., młody, ale prawdziwy myśliwy. Myśliwych było 20, psów drążkowych i tropowiec Tyszkowskiego. Razem z góralami było ludzi 40, liczba ta jednak była za mała w stosunku do rozmiarów kniei. Pan Jan objąwszy komendę jako znakomity myśliwy, zarządził wszystko wybornie i rzekł: „Kozarecki, pójdziesz w stronę wiesz tam, gdzie pochylony jasion". — „Wiem, wiem — odpowiada tenże — na ten jasion uciekł przed 20 laty przed psami ryś, a nieboszczyk p. Aloizy z Tworylnego....." — „Dość, dość. innym razem opowiesz, a teraz słuchaj. Jak wiesz, o 400 może kroków jest tam potok, brzegi skaliste i chropawe, więc podpraw gończakiem, gdy zbuszuje miot aż do potoku, a nic nie wytropi, spuść kundysy, niech „nypią" po załomach, tam będzie przynajmniej jeden niedźwiedź, bo to na dorywcze gawrowanie miejsce dogodne". — Poczęto zajmować stanowiska, jedni stali na wzgórzach, drudzy na ścieżkach, wydeptanych przez gazdów i wołowców, idących na swe polanki lub do koszar. Obstawiono się w ten sposób, że pomiędzy dwoma myśliwymi, uzbrojonymi w strzelby, stał góral z drągiem i nieodstępnym swoim toporem. Na tem też polowaniu obdarzył św. Hubert Osuchowskich szczególną łaską, syn Jędrzeja, Kazimirz, zająwszy stanowisko, ujrzał w pobliżu sporą kupę gałęzi, naniesionych przez wołowców, jako zapas dla palowiska na przyszłą wiosnę, gdy z wołami wyjdą w Beskid na paszę. W celu lepszego przeglądu włazi na wierzch owej kupy, i wnet czuje, że ona zaczyna się poruszać, wydymać, ba w górę podnosić, wreszcie u samych stóp jego wynurza się łeb niedźwiedzia. Kazimirz przytomny i silny porywa go za kark, szamoce się, pada na ziemię, ale trzyma niedźwiedzia i krzyczy co sił starczy. Nadbiegli chłopi i powrozami skrępowali mysia Był to roczny, spory już piastun. Wzięty w ,,łyka" rozzłoszczony do wściekłości, począł zębami targać powróz, kalecząc swe łapy. Z obawy, aby nie przegryzł postronków lub zbyt się nie pokaleczył, Kazimirz Osuchowski chwycił go znowu za kark i wetknął mu w paszczę gruby jak ręka, około 1½ łokcia długi bukowy knebel, obwiązał go sznurem w koło karku, poczem powiódł go ku Tyszkowskiemu. Wszystko to odbyło się tak cicho, że nawet w pobliżu stojący myśliwi niczego nie dostrzegli; ze zdziwieniem więc dowiedzieli się o tym nadzwyczajnym wypadku. Tyszkowski był radością rozpromieniony, zwłaszcza gdy pogromca niedźwiedzia ofiarował mu go. Niedźwiedź ten przebywał kilka lat na dziedzińcu Uhnickim; co się z nim później stało, nie wiem. Kazimirz Osuchowski jest obecnie może najpierwszym myśliwym w ziemi Sanockiej. Na niedźwiedzi chodzi *antiquo more* z oszczepem, a osadzonego przez psy odyńca bierze na kordelas Nie imponuje on ani wzrostem, ani siłą fizyczną, ale dzielnością, zręcznością i wielkim animuszem łowieckim. Do ptactwa i innej małej zwierzyny strzela tylko kulą Wieść o ujęciu żywcem niedźwiedzia przez Osuchowskiego wnet się rozbiegła po wszystkich myśliwych; spełniono serdecznie jego zdrowie z manierek. Wszczęła się gawędka na dobre. Tymczasem psy ,,wynypały" innego niedźwiedzia w załomach skalnych; śród gwaru rozmowy myśliwi nie słyszeli gonu zlai, która wyruszywszy mysia z legowiska, poszła za nim w las głęboki, chwytając go czasem za szarawary. Pociesznym jest niedźwiedź przed psami, pomyka kicając, co górale telepaniem lub typulaniem zowią. Gdy psy poczną się dobierać do kudłów, przysiada na zadzie, i „żegna" psy w prawo i w lewo przedniemi łapami, a gdzie ugodzi tam już, jak mówi przysłowie: „muchaby nie usiadla". Gdy ciasno z nim, a psy twardo dokuczają, wyrywa krzaki wraz z korzeniem lub chwyta spore kamienie i rzuca je między napastników. Wyrwawszy z korzeniem młodego świerka lub inne drzewo, wywijając niem opędza się od psów. Najciekawszem jest, że zraniony w ucieczce wydartą darnią lub ziemią zatyka sobie ranę. Z psami walczy zawsze na czworakach, z człowiekiem zaś wzniosłszy się na tylnych łapach; gdy się z psami potyka, milczy, raniony przez człowieka idąc ku niemu mruczy lub gromkim rykiem zapełnia powietrze, a ryk ten jest istotnie

przerażającym, więc człowiek idący wtedy z białą bronią na niego jest zuchem nad zuchy.

Myśliwi gwarnie rozprawiający przy ujętym piastunie dość późno usłyszeli gon, gdy niedźwiedź szarpany przez kundysy już blisko był ich stanowisk, więc co tchu rozbiegli się na swoje miejsca. Niedźwiedź stary, ogromny, nie dał się kundlom, jakkolwiek dowodnym osaczyć, a tem mniej osadzić. Przystanie na chwilę, macnie tego lub owego psa łapą, szpurnie w nie bryłę kamienną lub ziemną i rusza dalej. Tak doszedł w pobliże Tyszkowskiego, który do niego może na 20 kroków palnął ze swego gwintowanego, wybornego sztućca. Po strzale zmienił niedźwiedź kierunek, na połec przebiegł całą niemal linię strzelców, którzy rotowym ogniem go powitali. U samego krańca linii ugodził go strzałem śmiertelnym w komorę Jan ze Smolnika, co też zaraz głosem swej trąbki górom, skałom, borom i współtowarzyszom swoim obwieścił. Przy opatrywaniu martwego niedźwiedzia okazało się, że zaledwie cztery strzały były trafne, ale nie śmiertelne, takim był tylko strzał ostatni dzielnego Jana ze Smolnika. Zeszli się myśliwi, nadbieżał też Tyszkowski mocno zasapany, nowe wiwaty manierką, a nawet trąbką, która napełniona węgrzynem obchodziła kolej.

Tyszkowski mając zamiar nie wiele polować w tym roku (było to ostatnie polowanie w jego życiu), pragnął obchodzić te krótkie łowy z całą świetnością, a nawet przepychem. Służba jego przyrządziła w małej, zasłoniętej dolince myśliwską ucztę, jadła i napitku było w bród. Liczne toasty spełniano trąbką prawdziwie po sanocku duszkiem, a huku i stuku było niemało. Kazimirz Osuchowski odegrał ku czci Jana ze Smolnika mało gdzie słyszany koncert, trąbiąc na dwóch naraz trąbkach. Jak wdzięcznie brzmi taka muzyka śród górzystych i skalistych borów, opisać trudno. Późno wieczorem przy blasku pochodni ruszono ku Smolnikowi, dokąd słynny z gościnności p. Jan Terlecki Tyszkowskiego i całą drużynę myśliwską zaprosił. Tyszkowski, czując się nie bardzo zdrowym, wrócił do Uhnik. Tak to odbyły się w słabych wyrazach przezemnie opisane, ostatnie jego łowy w Beskidach. Był to myśliwy, jakich dziś już mało. Wspomnienie o nim i jego łowach żyć będzie w tradycyi ziemi sanockiej tem bardziej, że niebrak tam jeszcze spadkobierców jego szczeropolskiej cnoty, gościnności i rycerskiej dzielności.



Kot domowy jako szkodnik w gospodarstwie łowieckiem.

Skreślił
St. Wittemberski.

Z wielu stron kraju dają się słyszeć utyskiwania na brak zwierzyny tak czworonożnej jak i lotnej, wiele cennych rozpraw i uwag zamieściła Szan. redakcya „Łowca“ w łamach pisma swojego, autorowie zaś tych rozpraw zwracali słusznie uwagę myśliwych i leśników na niektóre okoliczności, tamujące swobodny rozrost zwierzyny. Nie wyliczając przeróżnych nieprzyjaciół zwierzyny, poświęcę kilka słów dla zwrócenia uwagi myśliwych i leśników na jednego z najniebezpieczniejszych niszczycieli tejże, na kota domowego.

We wszystkich zakątkach kraju, tak w miastach jak i po wsiach, chowają znaczną liczbę kotów domowych, znajdują się one w chacie włościanina i we dworze szlacheckim, nie licząc wiele pojedyńczych jednostek, wałęsających się tu i owdzie bez właściciela. Zaliczają kota do zwierząt pożytecznych, już książki elementarne dla nauki dzieci, opisują kota jako pożyteczne zwierzątko, które łowi myszy i szczury. W rzeczywistości jednak jest inaczej, owe pożyteczne zwierzęta domowe, noszące nazwę kotów, owe pieszczoszki pań i dzieci, są najniebezpieczniejszymi szkodnikami i tępicielami zwierzyny. Kto bliżej przypatrywał się życiu i obyczajom kota, dostrzegł smutną tę prawdę i przekonał się, że kot nietylko wcale nie zasługuje na nazwę zwierzęcia pożytecznego, ale owszem powinien być ile możności usunięty z pomiędzy zwierząt domowych. Wrodzona drapieżność kota nie da się żadną miarą poskromić, chyba w bardzo wyjątkowych razach i u niektórych tylko jednostek, kot najlepiej żywiony i pieszczony korzysta z każdej sposobności, by wymknąć się z domu w pole, do ogrodu lub lasu, gdzie nie strzeżony, nie widziany przez człowieka, puszcza wodze swej drapieżności i urządza polowanie na wszystko, co pazurom i zębom jego oprzeć się lub ujść nie zdoła. Natura sama uposażyła kota sowicie na drapieżcę, cichy chód, ostre zęby, bystry wzrok i słuch, niezły węch, silne muszkuły, gibkość stosu pacierzowego, oto szereg przyborów uzbrojenia kota, z których doskonale korzystać potrafi. Wszakże kot domowy oddaje usługi rolnikowi tępieniem myszy i szczurów, powie niejeden z szanownych czytelników. Tak — kot łowi szczury i myszy, ale tylko wtedy, gdy nie ma lepszej strawy i nie każdy kot oddaje się tego rodzaju łowom, chyba zamknięty i głodny ułowi w spichlerzu lub spiżarni kilka myszek dla zaspokojenia głodu. W miejscowościach, gdzie zwykły szczur domowy *(Mus rattus)* przez znacznie większego i silniejszego szczura wędrownego *(Mus decumanus)* wypędzony został, tam i najlepszy kot nie wiele pomoże, a tylko nader nieliczne są wypadki, że kot na szczura wędrownego urządza obławy.

Pola, lasy, ogrody i łąki — oto rewiry polowań kocich, tu trudy mu się opłacają, polowanie bywa obfite, tu też wyrządza on niesłychane szkody, przeszukuje z podziwienia godną cierpliwością wszystkie zarośla i krzaki, wynajduje gniazda wszelkiego ptactwa, legowiska młodych zajęcy, a gdzie tylko wzrok jego dostrzeże ofiary, staje się ona prawie zawsze pastwą i łupem jego, morduje wszystko, co tylko napotka, czego nie ułowi za dnia, dopadnie nocą, wdziera się na drzewa, wybiera młode i dusi stare ptactwo na gniazdach siedzące lub śpiące na gałęziach, czatuje na upatrzoną zdobycz całemi godzinami bez znużenia, rzuca się w stosownej chwili skokiem na ofiarę, a gdy tejże uda się ujść jego szponów, z największym spokojem szuka odpowiedniego miejsca, aby dalej prowadzić rozboje. W ciągu jednego dnia kot domowy może ułowić kilkanaście i więcej ptaków lub piskląt tychże, a że łowy urządza codziennie,

proszę policzyć, ile ptactwa w ciągu jednego roku wyłowi. Szkody, jakie sprawia, są niezmierne, coby uszło przed wyżłem lub strzałem myśliwego, nie ujdzie przed pazurami kota, jeżeli nie dziś, to jutro lub pojutrze dopadnie w stosownej chwili ofiary swojej, a poluje, jak wiadomo w dzień i w nocy. Ofiary swej po największej części nie pożera, lecz zadowala się zwykle śmiercią jej.

Kot polujący na zwierzynę świadomy jest zbrodni, jaką popełnia, a najlepszym dowodem tego jest, że na widok człowieka chociażby nie uzbrojonego, umyka i stara się ukryć, zresztą wytropienie kota polującego na łąkach i polach nie jest łatwą rzeczą, gdyż potrafi on uniknąć człowieka i ukryć się przed wzrokiem jego, jedynie przypadkowi zawdzięczyć należy, jeżeli przydybie się kota na łące lub w polu na rozboju. W miejscowościach, gdzie wiele kotów domowych hodują, ubytek w zwierzynie lotnej i zającach jest nader widoczny, lecz niestety zwykle innym przypisywanym bywa przyczynom. Wprawdzie drapieżne ptactwo, psy wiejskie przyczyniają się też do tego ubytku, lecz pierwsze miejsce pomiędzy tymi niszczycielami należy się kotowi domowemu, a niebezpieczeństwo dla zwierzyny wzmaga się wobec wielkiej płodności kota. W okolicach, w których zwrócono już baczne oko na kota, a myśliwy i służba polna i lasowa tępi go, przyrost w zwierzynie zwłaszcza lotnej widocznie dostrzegać się daje. Cóż pomogą najlepsze i najstaranniej przestrzegane ustawy, dotyczące szanowania zwierzyny w porach lęgu, gdy kot domowy nie wiąże się ani obawą kary, ani ustawą, lecz tępi bez litości ptactwo i młode zające w ciągu całego roku, w dzień i w nocy.

Zwolennikom kota, którzy przysądzają mu tytuł użytecznego zwierzęcia z powodu tępienia myszy i szczurów, i utrzymują, że większy tem przynosi pożytek, jak drapieżnością swą szkody wyrządza, powiem tylko, że znacznie większą korzyść przyniosłyby rolnikowi poduszone przez kota ptaki gubieniem szkodliwego roślinności robactwa i gąsienic, niż koty łowieniem myszy, któreby zjadły co najwiącej kilka garncy ziarna w spichlerzu lub stodole. Zresztą tyle różnego rodzaju istnieje łapek na myszy i szczury, od najprymitywniejszych do najbardziej skomplikowanych, że każdy dla użytku domowego kilka ich nabyć może, które odpowiednio użyte, więcej myszy wyłowią, niż kot. Istotnie pożytecznym jest on chyba w młynach i magazynach zboża, w których zamknięty sam się wyżywić musi.

Wiele przykładów drapieżności i szkodliwości kota przytoczyć można, sądzę jednak, że niemal każdy z myśliwych i leśników miał sposobność przekonać się o tem naocznie, zwracam więc tylko uwagę miłośników polowania, hodowców zwierzyny i gospodarzy leśnych na tego szkodnika, który na wytępienie istotnie zasługuje, którego krwiożerczość żadnych względów nie zna. Ubiciem jednego kota plądrującego po lasach, polach lub łąkach ocala się życie mnóstwa ptaków i zajęcy, a z ubytkiem kotów zwiększać się musi zwierzostan okolicy. Tępienie kotów wykaże już w drugim roku dodatnie i znaczne rezultaty w przyroście ptactwa i zajęcy i udowodni aż nadto, iż one najbardziej utrudniają swobodne rozmnażanie się zwierzyny.



KORESPONDENCYE.

Lwów 15. Marca 1885.

Już od lat kilku gorącem mem życzeniem było poznać litewskie bory, tak ponętne dla każdego myśliwego, owe niezmierzone puszcze Białorusi i Polesia, dziś prawie jedyną matnię grubego zwierza. Tego roku nareszcie ziściły się me życzenia, wziąłem udział w wycieczce myśliwskiej, tem przyjemniejszej, że podjętej w miłem towarzystwie dobrych znajomych i zapalonych adeptów św. Huberta. Dnia 6 Lutego 1885. hr Józef Potocki, Antoni hr. Wodzicki, Tomasz hr. Zamoyski i Władysław Micewski wyruszyli z Szepetowki, umówionego punktu zbornego do Mińska, gdzie mieliśmy główną kwaterę naszą rozłożyć. Kierownictwo całej wyprawy objął Potocki, który jeżdżąc od lat kilku na Litwę, obeznany z tamtejszymi stosunkami i znając zarazem okolicę, nadawał się najlepiej na organizatora ekspedycyi. Wyjechawszy z Brześcia wieczorem przy ulewnym deszczu i szkaradnem błocie, które nasz zapał myśliwski niemało ostudziło, i niejedną nadzieję rozwiało, obudziliśmy się nazajutrz rano w Mińsku, przy prześlicznej pogodzie, kilku stopniach mrozu i wybornej sannie. Śniegi listopadowe, które u nas zupełnie zginęły, leżą tam dotychczas, dochodząc w lesie prawie do kolan tak, że chodzenie po śniegu pokrytym załamującą się skorupą niezawsze do wygodnych należało. Kierownik naszej ekspedycyi otrzymał był jeszcze przed kilkoma tygodniami telegraficzną wiadomość z Mińska, że w lasach hr. Józefa Tyszkiewicza w Gródku, o 20 wiorst od Mińska odległych, niedźwiedź pewny osaczony czeka przybycia myśliwych. Tam skierowaliśmy pierwsze nasze kroki mając zamiar potem udać się do Turowa nad Prypecią, gdzie w rządowych lasach kilka niedźwiedzi leżeć miało, na których spolowanie otrzymaliśmy w Mińsku pozwolenie. Bezśnieżna jednak zima, nieprzebyte drogi poleskie, a przedewszystkiem niezamarznięte bagna nad Prypecią uniemożliwiły nasze zamiary i zmusiły ograniczyć się na okolice Mińska. Wspomniałem wyżej, że udaliśmy się do Gródka niebawem po przyjeździe do Mińska. Uprzejme przyjęcie w pięknym pałacu gródeckim i niezrównana gościnność gospodarza kazały nam zapomnieć, że znajdujemy się na wyprawie myśliwskiej w głębi Białorusi; rozpytywanie o miejscowość i inne szczegóły, a wreszcie wieczorna gawęda przy kominku zajęły nam resztę dnia.

Według opowiadań miejscowych leśników niedźwiedź nasz gawrował niedaleko domu w niezbyt gęstym świerkowym starodrzewie, gawrę przypadkowo odkrył pobereźnik tropiąc kunę i wyśledził najdokładniej jej położenie. Po gorącej debacie, jaki sposób polowania na dzień jutrzejszy zastosować. przyjęto wniosek kierownika naszej wyprawy, by los rozstrzygnął, kto z trzech towarzyszów, którym strzał do niedźwiedzia był jeszcze nowością, ma się udać do gawry, a pozostali mieli stanąć na wchodowych tropach.

Piękny zimowy dzień przy łagodnym mrozie, zwiastował nam nazajutrz, że choć pod względem aury św. Hubert sprzyja. Po emocyonującem ciągnieniu, przy którem Zamoyski był tak szczęśliwy obiecującą kartkę z napisem „niedźwiedź“ wyciągnąć,

ruszyliśmy do ostępu o 12 wiorst odległego. Punkt zborny u pobereźnika i kilka chwil zatrzymania tamże, pozwoliły nam przypatrzeć i zapoznać się z nieznanym dla nas dotąd widokiem ludu białoruskiego, złożonego po części z chłopów t. z. „mużyków“, po części zaś ze szlachty czynszowej, która jednak prócz wiary i imion polskich niczem od pierwszych się nie różni. Ogorzałe ich oblicza, nieco dziki wyraz twarzy, nie rzadko piękne rysy z charakterystycznym ubiorem białoruskim niemało zaciekawiły nas, zwidzających po raz pierwszy te strony. Kilka poleceń, rozkazów, napomnień i dalej w ostęp! Obława stanęła do koła, chłop koło chłopa, trzech z nas na tropie wchodowym, Zamoyski zaś w towarzystwie pobereźnika, łowczego, a wreszcie pieska gończaka podążył w głąb ostępu do gawry. Po kilku chwilach gorączkowego prawie wyczekiwania usłyszeliśmy dwa strzały szybko po sobie następujące, zażarte ujadanie psa i odgłos trąbki dzwoniącej na „trupa“. Jak kto mógł najszybciej w głębokim śniegu, pobiegliśmy na miejsce, gdzie się odegrał piękny myśliwski epizod. Niedźwiedź leżał w gąszczu pod złomem stuletniej jodły, pod którą był sobie formalną jamę wykopał. Za zbliżeniem się myśliwych na kilka kroków do owej jodły i puszczeniem pieska, wychylił się mrucząc ze swej fortecy, pokazując łeb i komorę. Celna kula Zamoyskiego rozciągnęła go na miejscu bez życia, drugi strzał był już zbyteczny. Była to dwuletnia ładna, niezbyt duża niedźwiedzica. Po uroczystem farbowaniu uszczęśliwionego myśliwego, który po raz pierwszy z niedźwiedziem się spotkał, ruszyliśmy nazad do Gródka i serdecznie podziękowawszy gospodarzowi za łaskawe i gościnne przyjęcie, stanęliśmy tego samego dnia wieczorem w Mińsku. Tu czekała nas wiadomość od rządowego leśniczego p. Becha, u którego Potocki lat temu kilka był polował, że w jego uczastku niedźwiedź leży i czeka naszego przybycia. Dnia 10. Lutego byliśmy już w Rudni, wiosce wśród lasu położonej, rezydencyi p. Becha, a odległej o wiorst 60 od powiatowego miasteczka Borysów. Obiecywano nam obławę na łosie i na owego niedźwiedzia. Postanowiliśmy nazajutrz jak najraniej wyruszyć, spróbować naprzód szczęścia na łosie, a zaraz potem wziąć się do niedźwiedzia. Dwie obławy zamówiono, odległość bowiem dość znaczna oddzielała obie knieje. Niestety łosie nie wyszły na linję strzelców, Potocki widział je w miocie na paręset kroków, wreszcie niestrzelane uszły. Godzina czwarta dochodziła już prawie, gdyśmy wreszcie zdążyli do ostępu, w którym upragniony zwierz miał gawrę swą obrać. Rozstawiono nas; Zamoyskiego pierwszego od prawej flanki, Potockiego i Wodzickiego w środku, Micewskiego ostatniego. Niebawem psy puszczono, po kilku chwilach zażarte ujadanie doskonałej psiarni oznajmiło nam, że zwierz ruszony. Niejednemu z nas serce żywiej w piersi zadrgało, ręka silniej sztuciec ścisnęła, a wytężony słuch i oko starały się przebić tajemnicze gąszcze ciemnego boru. Niedźwiedź uderzył na przeciwległą ścianę obławników, lecz przyjęty przez nich piekielną wrzawą i strzelaniem pustymi nabojami, zwrócił się ku nam i ja pierwszy ujrzałem go idącego na mnie na sztych na odległość około 90 kroków; szedł pomału szarpany od czasu do czasu przez doskonałe pieski. Wyczekiwałem chwili, by dobrze wymierzoną kulę mu posłać, gdy w tem obławnicy od lewej flanki koło mnie stojącej podnieśli złowrogi dla mnie hałas, niedźwiedź zmienił kierunek i zniknął mi w gąszczu. Po chwili wytknął na kilkanaście kroków na Zamoyskiego, który go śmiertelną kulą w komorę przywitał. Rulował na miejscu, podniósł się jeszcze jednak i piękny mieliśmy widok broniącego się w ostatnich podrygach misia od zaciekłych ogarów. Był to piękny i spory niedźwiedź z ciemnem futrem, drugi i niestety ostatni w tej naszej wyprawie. Podjęliśmy wprawdzie jeszcze ekskursyę do Mohylowskiej gubernii za niedźwiedziem, którego nam obywatel p. G. łaskawie odstąpił, lecz w dobę przed naszym przyjazdem ubili go chłopi. Ogólny rezultat naszej wyprawy niemało upiększony został trzema łosiami, ubitymi przez Micewskiego u p. Aleksandra Skirmunta w Porzeczu koło Pińska. Udał się on tam wyprzedzając o tydzień swoich towarzyszów, wskutek łaskawego zaproszenia tego w Galicyi z nadzwyczajnej gościnności dobrze znanego obywatela, właściciela najpiękniejszej może na świecie kniei na łosie. Ubite sztuki były 2 rogale i 1 klempa. Dość ciekawy epizod z łosiem tam się wydarzył. M. strzelił na podjeździe (gdyż polowanie wyłącznie było podjazdowe) do stojącego o 70 kroków łosia, który trafiony w kark padł na miejscu, na to dwaj myśliwi uradowani zbliżyli się do żyjącego jeszcze wprawdzie zwierza, który jednak, jak się wydawało, wstać już nie mógł. M. wyjął drugi nabój ze sztućca i przystąpił do leżącej sztuki, by ją pchnąć kordelasem, w chwili, gdy ją tymże dotknął, łoś zrywa się i szybkim kłusem zapewne w niezbyt przyjaznym zamiarze, ze spuszczonym łbem idzie wprost ku dwom obok stojącym myśliwym. Ci mieli tylko czas skoczyć za drzewo, łoś zaś silnie farbując zniknął w gąszczu, doszli go dopiero nazajutrz wieczorem. Inne dwie sztuki padły na miejscu.

Polowanie Porzeckie niejednokrotnie już w szpaltach naszego pisma opisywano, znane ono dostatecznie tak pod względem ilości jak i wzorowej i racyonalnej hodowli tego niestety dzisiaj już tak rzadkiego zwierza. Na zakończenie kilka uwag ogólnych: Co do zwierzyny to niedźwiedź, łoś, wilk, zając bielak, którego jeden okaz przywieźliśmy, sporadycznie i ryś są jedynymi prawie reprezentantami, sarn na Polesiu bardzo mało, na Białorusi nie ma ich wcale. Z ptactwa spotykaliśmy często cietrzewie całemi stadami, widzieli również dwa głuszce. Smutny zaiste przedstawiają widok sławne niegdyś litewskie bory pod względem drzewostanu. Lasy z małymi wyjątkami prawie wszędzie w pień wycięte, starodrzew po większej części zastąpiony młodnikiem, a może i temu ustać się nie dozwolą izraeliccy handlarze. Chwalebny wyjątek stanowią lasy Skirmuntów, puszcza białowiezka, obszary ordynacyi Radziwiłłowskiej i kilka rządowych rewirów. Dla myśliwego jednak pozostanie zawsze Litwa prawdziwem Eldoradem, utrzymując się pod tym względem na wyżynie świetnej tradycyi.

Jeden z uczestników wyprawy.

Suwałki, Luty 1885 roku.

Otóż doczekaliśmy z łaski Boskiej nowego 1885 roku, a gdy zwyczajem jest między znajomymi pozdrawiać się z poczynającym się rokiem, przeto i mnie chęć bierze przesłać „Łowcowi“ jako znajomemu od lat kilku w miejsce pozdrowienia korespondencyjkę. Mam pod ręką kalendarz myśliwski i rybacki „Łowca“ na rok 1885, a także rocznik myśliwski warszawski na tenże rok, a zatem jest przedmiot do traktowania.

Kalendarz „Łowca“ służyć może każdemu myśliwemu tak w domu, jak w polu i w drodze za wyborny podręcznik. Część informacyjna troskliwie zebrana, a chociaż kalendarz ten przeznaczony głównie dla Galicyi, to przecież i dla nas tu przydatny. Dobry jest zbiór wiadomości zamieszczonych pod każdym miesiącem, pożyteczne są wskazówki o psich chorobach i leczeniu onych, a Bibliografia nader ciekawa i pouczająca. Z niej dopiero nabrałem pojęcia o rozwoju literatury łowieckiej i nie sądziłem, że liczba dzieł traktujących o łowiectwie jest tak znaczną. Podobał mi się bardzo Regulamin dla myśliwych,

i pożądanem byłoby, aby i u nas każdy myśliwy miał go w pamięci i stosował się do niego. Z tabeli przylotu i odlotu ptaków widzę, że tu u nas ptactwo przylatuje później a odlatuje wcześniej.

Warszawski rocznik ukazał się po raz pierwszy, więc nie można wymagać, aby od razu był doskonałym. Intencye wydawcy wyrażone na wstępie pochwały godne, i może przyczynią się do rozwoju u nas prawidłowego myśliwstwa, do przestrzegania przepisów, do ochrony zwierzyny. Jest tu też krótka część informacyjna, pod każdym miesiącem wskazane zajęcia dla myśliwych, jest również tabelka wykazująca czas polowania i ochrony, tablice oznaczające czas rui i lęgu, i pomieszczone obowiązujące u nas przepisy o polowaniu. Prócz tego jest krótki rys historyczny prawodawstwa myśliwskiego w dawnej Polsce, i kilka opowiadań myśliwskich gładko napisanych.

Odczytując „Łowca“ i jego Kalendarz widzę, że łowiectwo w Galicyi stoi daleko wyżej niż u nas, że tam zwierzyny wiele, i że starają się o jej rozmnożenie. Zauważałem też że tam niektóre zwyczaje i poglądy odmienne od naszych. Nic w tem dziwnego; dzieli nas odległość i granica, a „co kraj, to obyczaj“. I tak znajduję w Łowcu częste odwoływania się do św. Huberta, a z Kalendarza widzę, że pod jego wezwaniem istnieją w Galicyi towarzystwa myśliwskie. U nas dotąd o tym świętym mało kto wiedział i tylko z książek dowiedziałem się, że na Zachodzie myśliwi uważają za swego patrona św. Huberta. U nas myśliwi uważają za takiego św. Bartłomieja, bo z dniem tym rozpoczynamy większe łowy, a zresztą i w dawnych ustawach mowa o rozpoczęciu łowów w tydzień po św. Bartłomieju. Sądzę, że do was patronat św. Huberta przeszedł z Niemiec. W Galicyi tępią bociany, kruki, wrony i sroki jako szkodliwe. U nas dotąd bocian nietykalny, jak Ibis u Egipcyan i cała wieć raduje się, kiedy on jako zwiastun wiosny przylatuje, a kruki, wrony i sroki uważają tu za pożyteczne, i dla tego za chłopkiem, który orze, wrona postępuje z całą ufnością zbierając wyorane pędraki. Nie mogę sprzeczać się o to, kto tu ma racyą, bo tylko biegli w historyi naturalnej mogliby orzec, czy bociany, kruki, wrony i sroki przynoszą więcej pożytku niż szkody. Dowiadujemy się też z artykułów pomieszczanych w Łowcu, że w lasach galicyjskich kryją się dotąd Sylwanki, Dyanna i inne leśne psotnice, które tamecznym myśliwym płatają różne figle. U nas o tych pannach, czy też paniach ani słychać i sądziłem, że one z całą rzeszą greckich i rzymskich bogów dawno już i bezpowrotnie drapnęły do Olimpu, czy też na inną planetę. Ale nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło. U panów gdy myśliwy nie miał szczęścia, jeśli przeoczył zwierza, nie opatrzył należycie fuzyi, lub spudłował, to łatwo mu winę zwalić na owe psotnice; a u nas, gdzie ich nie ma, nie można zwalać winy na nie, i myśliwy spuściwszy nos na kwintę mówi: nie miałem szczęścia, nieszykowało, zagapiłem się, pudłowałem fatalnie, albo też kłamie na potęgę wynajdując różne niebywałe przyczyny.

Zaiste dziwnemi wydają się nam ogłoszenia pewnego rusznikarza podawane do Łowca i Kalendarza, który broń swoją poleca „Wysokiej szlachcie i wszystkim P. T. Myśliwym“. Podział ten na kasty razi. W naszych gazetach i kalendarzach fabrykanci i kupcy polecają swoje wyroby i towary: „Szanownej Publiczności“ i dla nich obojętne kto kupi, byleby zapłacił cenę oznaczoną. W numerze 11. Łowca z roku zeszłego (str. 182) jest zapytanie: skąd się wzięła obecna nazwa borsuk, zamiast dawnej jaźwiec? Nie rozwiązując tego pytania, pojaśniam, że Meles nietylko w polskim i rumuńskim języku nazywa się borsuk, ale też i w języku rosyjskim nazywa się barsuk i borsuk, a po litewsku barsuks. Jest to zatem powszechna nazwa u wielu ludów na obszernej przestrzeni. Prawdopodobnie wyraz jaźwiec używano w języku łowieckim i w literaturze łowieckiej, jak np. koza, rogacz, kot, gdy w potocznej mowie mówiono: sarna, jeleń, zając, borsuk.

A teraz trzeba też podać nieco i z naszego zakątka. Chociaż mróz w Styczniu dochodził 16 stopni R., to śniegu było mało. Koło Suwałk, gdzie grunt kamienisty, jeżdżą saniami, ale dalej śniegu wcale nie ma. Ztąd polowania z ogarami prawie niepraktykują się. Wczoraj i dziś odwilż, pachnie wiosną. Widziałem śniegułę ubitą na początku listopada r. z. kiedy jeszcze śniegów nie było. Jeleni u nas od niepamiętnych czasów już nie ma, a jednak w końcu listopada r. z. ubito w powiecie Sejneńskim, w lesie należącym do dóbr Piotrowicze, ośmioletniego rogacza. Był to więc przybłęda z dalekich stron. Tułał się w tym lesie cały miesiąc i gdyby go pozostawiono w spokoju, to może przyprowadziłby za sobą kilka towarzyszek. Na rynek włościanie przynoszą kopami kuropatwy, złowione na sidłach i sprzedają je bezkarnie. Poluję od lat 40, a chociaż tu wiele jeziór, lasów i rzek, to tylko raz jeden widziałem zimorodka przelatującego ponad jeziorem Huciańskiem. Skrył się do nory. Lot miał dosyć prędki, ale urywany i wydawał w przerwach donośny pisk. Przy blasku słońca zdawało się, że ma pierze światło zielone i purpurowe. Dopiero wczoraj dostarczono mi zimorodka ubitego tuż za miastem przy rzece Czarnej Hańczy. A że to ptak rzadki, więc go opiszę. Wielkość skowronka, ale łeb nader wielki, a dziób większy od głowy. Dziób ten czarny, długi na dwa cale, prosty, spiczasty, podobny jak u dzięcioła. Nóżki koloru wiszniowego nader krótkie, trzy palce zwrócone naprzód, dwa długie, trzeci krótki, ale dwa długie do połowy zrośnięte, czwarty palec zwrócony w tył. Pazurki czarne, mocne i ostre, co do pierza, to brzuch, podgarle, podogonie i pod skrzydłami ciemno-pomarańczowe, skrzydła na zewnątrz, głowa i ogon granatowe lazurowo nakropione, przez grzbiet do końca ogona idzie pręga lazurowa, od oczu do końca głowy ku szyi dwie światło żółte plamy podłużne, końce lotek czarne. Jest to najpiękniejszy u nas ptak, chociaż i kraska ładna. *R. Wierzbicki.*

K R O N I K A.

Starzyska 8. Marca.

Nie dziw się Szan. Redaktorze, że zawezwani przez Ciebie w tym roku myśliwi, by w łamach „Łowca“ rezultaty polowań lub przygód swoich podawali, nader tylko skąpo odpowiedzieli twoim życzeniom. Leży to w naturze rzeczy. My literaci nie z powołania, tylko wtedy chwytamy za pióro, gdy możemy Ci udzielić sprawozdań o świetnych rezultatach usiłowań naszych na polu myśliwstwa, lub jeżeli wrodzona każdemu myśliwemu próżność, połechtana powodzeniem, pożąda rozgłosu. Niestety rok ten pod każdym względem smutny, prócz ciągłego zawodu nic nie przyniósł myśliwym. Czemże więc dzielić się z czytel-

nikami „Łowca“? Jako jeden ze starej gwardyi czuję jednak pewien moralny obowiązek nawet w złych czasach stanąć do apelu i zapełnić krótką gawędą, o ile siły pozwalają, bodaj kącik ulubionego naszego pisma. Osobiście właściwie przez całą zimę nie polowałem, gdyż srogi reumatyzm ubezwładnił mi szczególnie ramiona i ręce. Oprócz jednego szczęśliwego strzału, który rekonwalescentowi raz dolę rozświecił, prawie żadnych wrażeń myśliwskich sam nie doznałem; żyjąc jednak wśród lasów, słyszę ich dzieje i niemi się dzielę. Na wielkim obszarze lasów, których część składową las mój stanowi, rozgospodarowało się przed dwoma laty sześć wilków i wędrując ciągle z miejsca na miejsce wielkie robiły szkody w zwierzostanie. Najchętniej i najczęściej odwidzały moje rewiry, co naturalnie było bodźcem do zaciętej walki przeciw tym szkodnikom. Jakoż udało nam się zabić 2 wilczyce i struć 2 wilki. Zostały jeszcze dwa, których w zeszłym roku, mimo że je kilkakrotnie obcięto i na nie polowano, nie udało się zgładzić. Jakoż przez lato i przez zimę tegoroczną nie opuściły naszych stron, a szczególnie u mnie częstymi były gośćmi. Nie dziw, że pałaliśmy ku nim srogą nienawiścią i chęcią zemsty. Cóż chce fatum? Oto w miesiącu Listopadzie, jedynym tego roku, który do zimy był podobny, na ponówce, udaje się leśniczemu memu obciąć owych rabusiów w miocie wielkim, około 150 morgowym w rewirze drugim (Karwickim). Szczęśliwy, że na obszarze lasów tej okolicy, co najmniej stutysięcomorgowym, tak szczęśliwa mu się trafiła sposobność, wysyła jak najspiesznięj oznajmienie z wezwaniem szybkiego przybycia. Niestety nikogo w domu nie było i posłaniec zastał tylko kontrolora i adjunkta lasowego. Nie było rady, trzeba we trzech szczęścia próbować. Istne szczęście sprowadza oba wilki na strzał, jeden wychodzi na kontrolora na 40, drugi na adjunkta na 15 kroków. Ale rok ten — to rok zawodów. Kontrolor chybia, adjunktowi odtylcówka nie wypala, wilki zaś, uszedłszy niechybnej prawie śmierci, tem śmielej prawie codzień nas nawidzają, dokonując dzieła zniszczenia! Dzików jest wiele, ale w tak wielkich obszarach trudno się z nimi spotkać, gdy nie są obtropione, a chociaż i są w miocie, to za pierwszym strzałem wynoszą się w daleki świat i tylko nagonka o nich opowiada. Śliczne dnie Lutego spowodowały mego lekarza pozwolić mi w południowych godzinach przy jasnem słońcu używać przechadzki. Otóż wykombinowałem, że przechadzka ze strzelbą nie zaszkodzi i chociaż niepewny mych rąk i ramion zbolałych i sztywnych, wybrałem się na dwugodzinną taką wycieczkę w towarzystwie kilku myśliwych i małej pogonki. W pierwszym zaraz miocie elektryzowało mię znane łopotanie jakoby szwadronu kawaleryi. Przeszło 20 dzików ruszyło na odgłos obławy i idąc ciemną, bo gęstą młodą buczyną przedefilowało bez strzału wzdłuż linii strzelców. W drugim miocie padło kilka kozłów bez mego współudziału. Gdy słońce zaczęło się schylać, pomny słów lekarza wybrałem się sam do domu, a że powoził nie tęgi woźnica, a konie były płochliwe, wyjąłem naboje ze strzelby, ubrałem futro, nakryłem się baranicą i ruszyłem kwaśny do ciepłego schronienia. Jedziemy leśną drożynką, gdy wtem w chwili w której zwracać mamy na szeroki trakt, w wysokim i czystym lesie, niedaleko już domu chłopak ściągnął lejce i pokazując na drogę wrzeszczy na całe gardło: „Oj! łys!“ Patrzę w tę stronę i widzę istotnie lisa, który stanął na drodze i patrzy mi w oczy. Mimowolnie zrzuciłem baranicę, chwyciłem za nienabitą strzelbę, ale lis niegłupi, zwrócił się w oka mgnieniu i w szybkim pędzie znikł mi z oczu. Z wyrzutami sumienia biorę się za późno już do nabijania strzelby; sztywne moje ręce z wielką biedą sięgają do torby, odciągają kurki, otwierają odtylcówkę, gdy oto woźnica mój znowu chwytając mnie za poły woła: „Przyjszoł znowu łys!“ Rzuciłem okiem i widzę mego lisa, wychodzącego najspokojniej na drogę i patrzącego mi w oczy. Wtenczas, przyznaję się, choć niemłody myśliwy, zimna krew mię opuszcza, nerwowo pcham jeden nabój do lufy, chcę zamknąć strzelbę — ani rusz! Strzelba jak zaczarowana, ręce moje sztywne, ładunek ciasno zachodzący nie chce się dać wcisnąć — stoję z otwartą strzelbą, nie mogąc przyjść do ładu. Lis przypatrzywszy się pewnie przez minutę moim bezskutecznym zabiegom, obraca się powtórnie i znika mi z oczu. Gdy go już nie było, odzyskałem zimną krew i udało mi się ów fatalny nabój wtłoczyć do lufy, naturalnie bez najmniejszej nadziei, bym mógł strzelać. Wtém widzę lisa po raz trzeci, jak wolno chce obejść drogę, którą mu wózkiem zagrodziłem i patrząc się na mnie i chyląc się za drzewami truchtuje. Ładunek był w strzelbie, zagrała krew we mnie, znikła sztywność i ból w ręce, zmierzyłem się i oto padł jedyny mój łup myśliwski tegorocznej kampanii. Jak sobie wytłómaczyć to zjawisko lisa, istnego waryata? Otóż nie inaczej, jak że idąc za ukochaną jej tropem, na którym właśnie wózkiem zawróciłem, nie usłuchał głosu rozumu i przebiegłości mu właściwej, ale głosu miłości i padł jej ofiarą. O rezultacie łowów tegorocznych w Starzyskach ze wstydem donoszę: dzik 1, kozłów 14, jarząbków 3, lisów 13, zajęcy 26.

Edward Weismann.

Wróblewo (W. X. Pozn.) Marzec.

Stan zwierzyny drobnej był w tym roku bardzo niepomyślny, więc na nią nie polowałem. Jaka była tego przyczyna, odgadnąć nie mogę, bo czas był dość przyjazny. Wynagrodziłem sobie grubszą zwierzyną, t. j. jeleniami. Jelenie w tym roku mało się odzywały podczas bekowiska i tam, gdzie w zeszłym roku stawałem na zasadzce i każdego niemal dnia po kilkadziesiąt widywałem, to w tym roku obrały sobie inną dyrekcyę, dlatego też tylko hr. Gorzeński Ostroróg z Taszec zabił bardzo pięknego czternastaka, a pan J. W. chybił w biały dzień na 110 kroków kolosalnego jelenia, przynajmniej dwudziestoczteroodnogowego. Polowałem później z nagonką, las otoczony był płatami, w każdym miocie były jelenie. Jednego dnia zrobiłem dublet do dwunastaków, w ogóle na moją osobę przypadło 21 jeleni, z których najmocniejszy był szesnastoodnogowy. Były mioty, gdzieśmy do 50 jeleni liczyli. W ogóle gruba zwierzyna rozmnożyła się u mnie bardzo, lecz na moją pochwałę powiedzieć muszę, że mają w lecie obsiane półka, a przez zimę są karmione. *Zbigniew Węsierski hr. Kwilecki.*

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego:

Krzeczunowicz Alexander.
Łubieński Kazimirz hr.
Piasecki Witold.
Siemiński Stanisław hr.
Starzeński Albert hr.

W Stupkach, u p. Oktawa Trzcińskiego, widziano w ogrodzie dnia 8. Marca słonkę. Kaczek nadzwyczaj wiele po rzekach, przeważnie krzyżówek. Czajki, kulony, gęsi i skowronki widziano już między 2. a 5. Marca.

Łętownia 19 Lutego 1885.

Ktokolwiek bada życie i obyczaje zwierząt, musi mu wpaść w oko, że zwierzęta jednego gatunku czyto dzikie czy domowe, różnią się znacznie między sobą stopniem inteligencyi. Trafną bardzo czyni w tem wzmiankę hr. Wodzicki w monografii o gołębiarzu, zamieszczonej w zapiskach ornitologicznych, a prawie każdy numer „Łowca“ ogłasza w kronice wydarzenia, stwierdzające powyższe zdanie. Tak w 1. nrze „Łowca“ b. r. odmawia p. R. Wierzbicki w korespondencyi z Suwałk szczególnej chytrości lisowi na podstawie spostrzeżeń własnych. Każdy z myśliwych, polujących częściej, mógłby coś podobnego powiedzieć czyto o lisie, czy o innej zwierzynie. W roku ubiegłym wyszedł na mnie w rzadkiej drągowinie wycinek, skubany przez psy, wolno na kroków 15, a jednak widział mnie, bom stał wcale niezakryty na drodze, i patrzył na mnie co chwila przystając. Chyba szukał śmierci, która go też nie ominęła. Tej zimy wyszedł w podobny sposób kolosalny odyniec na księcia Jana Sapiehę, który go celnym strzałem w komorę z expressa na miejscu powalił. Możnaby wszakże tysiące zacytować faktów, które świadczą, że nie tylko lis i dzik, ale nawet sarna, zając, jastrząb itp. tyle okazują wobec niebezpieczeństwa rozwagi, iż nie można wątpić o ich instynkcie czy inteligencyi, lub, jeżeli go tak nazwać można, rozumie zwierzęcym. Miałem u siebie w rewirze gołębiarza, brał mi kuropatwy ze zrębu, więc prześladowałem go wszelkimi sposobami. Robiłem zasadzki, chodziłem za nim ze sztućcem — jednak bezskutecznie, bo zawsze umiał mnie jastrząb wyprowadzić w pole. Przed kilku dniami opowiadał mi leśny, że widział tego gołębiarza na ścierwie, które kładziemy jako ponętę dla dzików. Z niewiarą i lekceważeniem przyjąłem to doniesienie, bom nigdy nie widział, nie słyszał i nie czytał, aby jastrząb gołębiarz ścierwem się żywił. Gdym się jednak dowiedział, że jastrząb obrał sobie siedlisko w miocie, w którym ścierwo leży, postanowiłem zapolować na niego z nagonką. Obstawiam tedy miot leśnymi, sam zaś staję w środku na drożynie i każę kilku chłopakom gonić ów miot niewielki. Jastrząb był istotnie w miocie, ale wymknął się swoim zwyczajem niestrzelany, a zerwał się z potoka, przy którym leżało ścierwo. Nazajutrz rano zasiadłem przy ścierwie chcąc się naocznie przekonać o prawdziwości doniesienia leśnego. Przyleciało kilkanaście kruków i wron, lecz jastrzębia nie było. Wreszcie około jedenastej zjawia się, ledwie jednak usiadł koło ścierwa, wpadły nań kruki, jedne z góry, drugie z boków, zaczęły go trapić skrzydłami i dzióbami nielitościwie tak, że nasz Kubuś szukał ocalenia w ucieczce i wcisnął się w krzak jałowca, skąd go bez trudu wziąłem rękami. Iżby mnie jednak nikt nie posądził, żem może jakiego myszołowa wziął za gołębiarza, posłałem go żywego hr. Kaź. Wodzickiemu, który może poświadczyć, że to istotnie *astur palumbarius*, wyrosły i wypierzony. Widocznie ów amator kabaniny stracił swój spryt wobec napaści, co nie świadczy zbyt pochlebnie o jego rozumie i odwadze, a przecież wiadomo powszechnie, jak przebiegły i ostrożny to ptak. *Kazimirz Remiszewski.*

Waplewo (Zachodnie Prusy). Marzec.

W dobrach hr. Sierakowskiego od lat wielu prawidłowo prowadzone jest tak leśnictwo jak łowiectwo, w ostatniem jednak z powodu sąsiedztwa, czatującego na wszelką zwierzynę, utrudnione jest doprowadzenie zwierzyny do świetnego stanu. W ostatnim roku ubito: 1 jelenia, 9 rogaczy, 87 zajęcy, 444 kuropatw, 44 dzikich kaczek, 5 słonek, 328 drozdów; ze szkodników: 1 leśną kunę, 3 tchórze. 28 lisów, 51 kotów, 68 zwykłych drapieżnych ptaków, 6 dużych jastrzębi, 151 wron i 26 wiewiórek. *A. L. S.*

Z Ukrainy. — Wasylówka.

Któż z nas nie wie, że z każdym rokiem w naszym kraju zmniejsza się ilość zwierzyny, a szczególnie w okolicach, gdzie nie wiele jest lasów; we własnym przeto interesie myśliwych leży potrzeba wynalezienia środków, któreby mogły skutecznie zapobiedz złemu. W nrze 7. „Łowca“, roku zeszłego, rzuciłem myśl w przedmiocie zaradzenia upadkowi zwierzyny w naszych prowincyach. Myśl jednak moja nie znalazła w nikim podtrzymania, została, że tak powiem, głosem bez echa i zamarła w szpaltach „Łowca“. Powodowany będąc przekonaniem słuszności, przedsiębiorę po raz drugi zwrócić uwagę myśliwych na grożące nam niebezpieczeństwo, i zachęcić, by w tak nieobojętnej dla nas kwestyi. wspólnemi siłami poszukać zaradczych środków. Nie myślę, by ktokolwiek wątpił, że dopięcie jakiegobądź zamierzonego celu potrzebuje pewnych starań, że nic się nam nie dostaje darmo; otóż i w tym razie dla podtrzymania myśliwstwa, które sprawia nam tyle przyjemności, a nawet jest bardzo potrzebnem dla zdrowia, uważam za rzecz najskuteczniejszą, by dójść do zadowalającego, mniejwięcej odpowiedniego celowi rezultatu i zapewnić sobie w przyszłości przyjemność polowania, użyć starań wspólnych i kwestyę obecną wspólnie z kolegami patronatu św. Huberta, choć pisemnie przedebatować. Zastanawiając się nad faktem coraz bardziej zmniejszającej się ilości zwierzyny, mam na widoku okolicę, którą zamieszkuję, to jest naszą stepową Ukrainę, gdzie polowanie tak mało prawem jest ograniczone, a gdzie i tego mało rzadko kto pilnuje. W sąsiedniej z nami Galicyi inaczej się dzieje: tam wyraźne ustawy rządowe, w słusznych karbach wstrzymują nieumiarkowane zapędy myśliwego, a naznaczone na przestępców grzywny zbawiennie ku powolności względem prawa zachęcają. U nas chociaż także prawo w części określa sezon polowania, lecz za wykonaniem tego prawa nikt nie śledzi i każdy byle chciał, w każdym czasie polować może bezkarnie. Mam więc przekonanie, że po większej części my sami jesteśmy winni obecnemu brakowi zwierzyny, polując niemal w każdej porze i zabijając co się tylko da napotkać, tak że wkrótce pozostanie tylko legenda o niewinnym szaraku. Podaję zatem propozycyą, by polowania nasze na zająca określić, nie więcej jak na trzy lata, prawem dwumiesięcznych w roku polowań, to jest od połowy Września do połowy Listopada, a wszelkie ponowy, po za okresem tego czasu, zaniechać i niewidzialnemi zostawić. Przykład powinien iść z góry, a zatem my starzy myśliwi w obowiązku jesteśmy ograniczyć tem prawem siebie — pierwsi, młodsi zaś bracia myśliwi, zapewne zechcą się do nas zastosować, a taka mortyfikacya w przyszłości, nie więcej jak przez czas wymieniony, uwieńczy nasze starania i zając, chociaż nigdy nie przestanie mieć wroga z wilka i lisa, stanie się widzialnym na każdej niwie. — Sezon ten polowania nazwiemy „myśliwskiemi wakacyami“, które do dziś są ponętne tylko dla młodzieży, to i nam starym myśliwym żywo odrodzi się w pamięci młodość, i będziemy również z upragnieniem wyczekiwać naszych wakacyi. *Antoni z Rokszyc Zapolski.*

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach Józefa hr. Baworowskiego od r. 1853 do 1883. *Zwierzyny pożytecznej:* dzików 81, rogaczy 66, kóz 17, zajęcy 6001, dropi 104, dropi strepetów 9, żórawi 9, bażantów 533, słonek 2446, dubeltów 880, kszyków 5471, kuropatw 278, przepiórek 6680, gołębi 480, kaczek krzyżówek 967, kaczek ceranek 658, łysek 237. *Zwierzyny szkodliwej:* wilków 31, lisów 978, kun 31, borsuków 50, tchórzów 52, chomików 110, jeżów 195, kotów 259, łasic 857, psów 366, orłów 7, sępów 582, jastrzębi 1143, sokołów 3106, czapli 308, sów 428, krogulców 3732, srok 4032, wron 8023. Razem sztuk 50.550. Prócz wykazanych złowiono do r. 1874 4740 drozdów i kosów.

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach hr. Władysława Baworowskiego od 15. Grudnia 1884 do 1. Lutego 1885. Dzików 5, rogaczy 18, zajęcy 451, bażantów 32, lisów 8, orzeł 1, w dniach 15. Na zające był rok dość pomyślny, z wyjątkiem powiatu Tarnopolskiego, gdzie ich znacznie mniej było jak zwykle, stan sarn wszędzie normalny. Dla bażantów i kuropatw był rok ubiegły bardzo niepomyślnym. *E. Fischer.*

Dnia 26. Lutego odbyło się polowanie, a raczej rewidowanie stanu sarn, które w czasie strzelania do zajęcy nie da się dokładnie wykonać, u majora Pawlikowskiego w Brześcianach. W 6 strzelb ubito 7 rogaczy, 2 lisy. Strzelano do 8 rogaczy i 3 lisów. Mimo pięknego dnia i wzorowo prowadzonej pogonki sarny całymi rudlami po 8—14 sztuk wynosiły się na skrzydła, chociaż one były flankierami obsadzone. Lubo myśliwych było mało, można było ubić 12—14 rogaczy, naturalnie samych dużych, bo do małych nie strzelano. Sarn na przestrzeni 500 morgów naliczono przeszło 100 sztuk i gdyby nie dwa sąsiedztwa, gdzie nawet strażnicy leśni do kóz strzelają, liczba ich byłaby podwójną.

Jan Ostrzechowski.

Z nad Sanu. Styczeń.

U nas w górach żywienie sarn i kuropatw byłoby wobec położenia tej części kraju przepaścistego i górzystego, rzeczą niemożliwą. Jednak sprawdza się tu staropolskie przysłowie: „Kogo Bóg stworzy, tego nie umorzy“, czego nie dokonało staranie ludzkie, to stało się przypadkiem. Jest obyczajem górali stawiać na oddalonych od wsi polach lub łąkach brogi owsa i siana, które w zimie saniami zwożone bywają do zagród. Po uspokojeniu się przeszłorocznej listopadowej zawieruchy wyjechał pewien gazda „na średni dział“, gdzie miał w stogach nieco owsa i siana, a że w stogu owsa były zaledwie dwie kopy, więc daszek jego przylegał niemal do samej ziemi, stóg zaś siana był wyższy. Gazda wraz z najmytem (parobkiem) zbliżywszy się do stogów spłoszył naprzód stadko sarn, złożone z 5 sztuk, które napasłszy się do syta wonnym sianem, ułożyło się przy stogu, „rumegało“ (przeżuwało) żer. Z drugiej strony stogu pomknęły 3 zające, które też „stryhły“ siano. „Najwam bude na zdrowle, je meni, naj bude i wam“, rzekł poczciwy gazda, poczynając się krzątać około podniesienia daszka w celu zabrania owsa. Wtem Biłyk, pies znany z „cikawosty“ w całej wsi, począł naszczekiwać wietrząc w koło brogu owsianego. Okazało się, że stadko kuropatw szukało w stogu ochrony podczas długotrwałej zadymki, zostawiły bowiem wyraźny ślad dłuższego pod nim pobytu. Stadko składało się z 14 sztuk. Jedną udusił Biłyk, druga „ciurkła“ (uciekła) podczas chwytania, 12 żywych włożonych do związanych rękawów dwóch „czuhoni“, przyniesiono mi do domu, za co gazdę 2 złr. obdarzyłem. Przechowam je, by na wiosnę parami rozpuścić po polach. Jako stary praktyk podam młodszej braci w św. Hubercie sposób, jak każdą puszczoną parkę zatrzymać w pewnem miejscu. Ucinanie piór u obu skrzydeł lub u jednego nie jest dobre, bo kuropatwa nie może ulecieć i staje się łatwą zdobyczą lisa, kuny, kota, a nawet psa kłusownika. Aby zapobiedz odlotowi puszczonej parki i przyzwyczaić ją do tej przymusowej pieleszy, smaruje się miejsca podskrzydłowe rzadko rozrobioną gliną. Nim kuropatwa zdoła dziobem oczyścić się, minie kilka dni, wystarczające, iżby się do miejsca przyzwyczaiła. W jednym roku podczas zawalnej zimy, gazda ze wsi Hulskie, podobnie zbierając owies zastał w nim żbika, który ułowiwszy i spożywszy tam kilka kuropatw, zasnął snem twardym tak, że go gazda siekierą ubił. *L.*

Callica (Rumunia).

U was w Galicyi nie ma śniegu, u nas zaś nawet dosyć obfite, korzystamy też z niego zwłaszcza na ponowie. Mieszkam w okolicy naddunajskiej, bezleśnej, więc w porze zimowej, po sprzęcie kukurudzy, która nam knieje zastępuje i gdzie polujemy z gończymi i wyżłem, możemy używać tylko chartów. Po świeżej ponowie 25. Stycznia wyruszyliśmy z Wacławem na polowanie. Rezultat jego nie był świetny, ale wypadek, jaki nam się zdarzył, zda mi się być niezwykłym. Wjechawszy na okiem nieprzejrzane pola rozglądałem się wokoło, ażali gdzie nie myszkuje „łapikura“, których tu wiele tak z powodu tolerancyi dla tych szkodników, jakoteż dla braku strzelających celnie myśliwych. Jak daleko okiem dosięgnąć zdołałem, nie widać było „kmotra mekity“. Nawet tropów zajęczych nie było. Wyśledziwszy wreszcie jeden, począłem za nim postępować. Mówię tedy Wacławowi: „Weźno charty na smycz, bo, jak wiesz, Chwytka (charcica), mając dobry wiatr, lubi po tropach chodzić, i resztę psów od koni odprowadza“. W chwili gdy to mówię, wymyka zając z przed naszych koni. Charty jakkolwiek były oddalone, zoczyły go i pomknęły bez pobudki. Zając, stary gracz, ruszył w stronę mogiły, których w Rumunii mnóstwo po polach rozsianych. Według historyków rumuńskich mają te mogiły pochodzić z czasów Trajana. Wacław na swoim czarnomorcu, który z wiatrem idzie w przegony i równo z chartami ściga, dojechał do mogiły. Na przeciwnym jej stoku

zastał charty skaczące i zaglądające do nory lisiej, gdzie lis wygrzebał je sobie nie na gniazdo, lecz na wypadek potrzeby nagłej schronienia się. Nieco turzycy u wejścia do jamy i ciekawe zaglądanie Chwytki do niej upewniły nas, że kopyra tam smyknął. Próbujemy tedy różnych sposobów wydobycia lub wypłoszenia zająca z nory, która miała dwa wychody, ale nadaremnie. Wyciągnąwszy stempel z krótkiej strzelbiny, którą zwykle mam w „wytoku“ jeżdżąc z chartami, a którą biję tu nader liczne orły i jastrzębie, niszczące kuropatwy i zające; przywiązuję go do długiego pręta i świdruję grajcarem w celu wyciągnienia szaraka, lecz także bezskutecznie, widocznie zając głębiej się ukrył. Wyżeł angielski „Pagat“, nieodstępny mój towarzysz, nawet na polowaniu z chartami, zabałamuciwszy się szukaniem zwierza na własny rachunek, zjawił się, bez namysłu wlazł do nory i za tylne skoki wyciągnął zająca, którego natychmiast charty obskoczyły i udusiły. Pagat wlazł powtórnie do jamy i wnet słyszymy, że naszczekuje i tłumi się w niej, że aż ziemia dudni. Po kwadransie wylazł z nory rozjuszony z pokaleczonemi głową i uszami. Coby tam mogło być? Każę wyżłowi leźć do nory, ale nie chce iść, tylko naszczekuje u jej wchodu. Nie ma innej rady, jak jechać do wsi, sprowadzić ludzi z rydlami i kopać. Zatkaliśmy wychody wojłokami, wyjętymi z pod siodeł naszych koni, a na straży pozostał Wacław z strzelbiną, ja zaś ruszam co koń wyskoczy, ku wsi. Przybyli ludzie z łopatami i motykami dokopali się wreszcie właściwej nory, a w niej w małym, ubocznym zakątku ogromnego, swojskiego kota wraz z żywym lisem. Obawiając się, aby kocisko, szukając ratunku wobec chartów, nie skoczył na głowę lub grzbiet którego z ludzi, strzelił Wacław do tego żywego kłęba i jednym strzałem ubił kota i lisa. Obecność kota i lisa w norze tak sobie tłumaczę: Lis zapewne używał siesty w norze, kot zaś nypiąc za kuropatwami, a jako wielkich rozmiarów nawet za zającem, widząc nas z psami w polu, skrył się do nory, a za nim szczwany zając. Zgoda tych trzech zwierząt razem zgromadzonych świadczy o potędze strachu, podobnie jak przy pożarze amerykańskich prerii. Kaulbach wyraził ową nienaturalną zgodę w swoim „Potopie“, gdzie na szczycie wzgórza, dokąd fale nie dosięgnęły, umieścił ludzi, zwierzęta i płazy. Co do kota, straszny to rozbójnik, nie ma dla niego łaski. Własną małą kotkę, która dla swego potomstwa przyniosła głowę zająca, zastrzeliłem bez litości z wielkim żalem nadobnej pani R., którą wprawdzie wielce szanuję, ale *pereat mundus, fiat justitia.* *H.*

Z nad Sanu.

Lody Sanowe ruszyły szczęśliwie, przynajmniej u nas w górach, przy niskim stanie wody nietylko szkody, ale nawet strachu nie było. Zdałoby się więc, że już po zimie, którą tak łagodną tego roku lud nasz „matką rodną“ nazwał. Bo też istotnie łagodną była dla ludzi i zwierząt, osobliwie dla zwierzyny łownej tak pod względem żerowania jakoteż własnej ochrony. Śnieg listopadowy wnet zginął i już go wcale nie było, co utrudniało wilkom łowienie sarn, które też od myśliwych nie wiele doznały szkody z powodu braku ponowy. Szrony górskie słynne z swej grubości, nie dozwalały ogarom tropić należycie. Zwierzyna łowna, z wyjątkiem wilków, lisów i zajęcy, których „obucie“ pozwala przechodzić gładkie lodem pokryte przestrzenie rzek, raciczna i kopytkowa trzymała się w kniejach, przeciętych potokami lub rzeką. W naszej dalszej od Beskidów stronie, było polowań nie wiele, a jak się wiodło myśliwym pod samym Beskidem, nie wiem, wiadomo mi wszakże, że jelenie w tej zimie nie przechodziły na węgierską stronę, pocóż wreszcie mieli to czynić, kiedy nasza zima była i dla nich „matką rodną“, a Ustawa łowiecka „ojcem opiekunem“ tej prześladowanej na Węgrzech rzeszy. Że panowie myśliwi pod Beskidem polowali, słyszałem i jestem pewnym, że owi wielbiciele galic. Tow. łow. i „Łowca“ zdadzą sprawę o wynikach tych łowów, przełamią ów niestety tak upowszechniony w Polsce wstręt do pisania, bo dotąd prawie ja sam tylko się odzywam, a „takim starym koniem nikt się chleba nie dorobi“. Ustanę w końcu, gdy pióro z drżącej mojej ręki wypadnie, któż je pochwyci? Wstyd Sanoczanie! A tak was p. Ubysz w „Łowcu“ teraz pod niebiosa wynosi słusznie. Piszcie więc, aby o was nie mówiono bez was! Po raz wtóry wołam do galic. Tow. łow. o oznaczenie drugiego delegata na obszerną i górzystą ziemię sanocką, bo jakkolwiek p. T. Żurowski gorliwie krząta się około dobra braci w św. Hubercie, czy jak inni chcą Bartłomieja, to jednak sam tak trudnemu zadaniu nie podoła. *L.*

Krukienice 14. Marca.

Dziś jadąc konno w celu tropienia dzików, na śniegu, przy trzystopniowym mrozie, spotkałem słonkę żerującą na śniegu, poderwała się na 20 kroków odemnie i zapadła w kulturze.

Jan Ostrzechowski.

Wiadomo, jakie znaczenie dla archeologii mają wykopywane przedmioty w różnych stronach kraju, szczególnie w pobliżu większych rzek, owe okrzeski krzemienne, młoty kamienne, dłuta szlifowane lub surowo obrobione i tym podobne zabytki odległej przeszłości. W wielu domach spoczywają one, najczęściej między nieużytecznem rupieciem, bez pożytku. Upraszamy najusilniej o łaskawe nadsyłanie ich do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie (ul. Teatralna 18) wraz z oznaczeniem miejscowości, w której je znaleziono i nazwiskiem łaskawego dawcy. Nie wątpimy, iż odezwa ta i prośba odniosą pożądany skutek, czego wreszcie już niejednokrotnie mieliśmy dowody. *W. Z.*

Galicyjska Spółka rybacka. W dniu 11. marca b. r. zawiązali w Krakowie pp.: Alexander Gostkowski, Stanisław Homolacz, Wiktor Burda i Paweł Marcinek Spółkę rybacką — początkowo z kapitałem zakładowym 100.000 złr. Zadaniem jej będzie dźwigać gospodarstwa stawowe w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, w Galicyi i na Bukowinie, a w tym celu zadzierzawiać i ulepszać istniejące stawy, tudzież zamieniać nieużytki, bagna, kwaśne i torfiaste łąki, pastwiska mało zysku przynoszące, jeżeli takowe zawodnić się dadzą, na stawy rybne, wyższą rentę od dotychczasowej przynoszące. Siedzibą Spółki jest Kraków, biuro swe ma ona u p. Stanisława Homolacza, ulica Bracka l. 5. — Osoby interesowane, mające stawy do wydzierżawienia lub pragnące założyć nowe gospodarstwo rybne, zechcą się nadal do tej Spółki zgłaszać, a nie do Towarzystwo rybackiego. Spólnicy są znakomitymi hodowcami ryb i znawcami racyonalnego gospodarstwa stawowego, dają zatem zupełną rękojmię, że podjęte dzieło z dobrym skutkiem na korzyść własną i obcą prowadzić będą. Szczęść Boże! ich pożytecznej i patryotycznej pracy.

Dziesięcioro przykazań redakcyjnych. 1. O czem chcesz donieść swemu organowi, czyń to spiesznie i zaraz wysyłaj, gdyż co jest nowiną w chwili, wkrótce już nią nie będzie. 2. Bądź treściwym, czem oszczędzisz czasu czytelnikowi i sobie, przyjmij za zasadę fakta bez frazesów. 3. Bądź jasnym, pisz czytelnie imiona i cyfry. 4. Nie pisz: wczoraj lub dziś, lecz wymieniaj datę. 5. Stawiaj więcej punktów niż przecinków, ale o obu nie zapominaj. 6. Nigdy nie poprawiaj nazwiska lub cyfry, przekreślaj błędny wyraz i pisz należyty nad nim lub obok. 7. Nie gniewaj się za poprawki uczynione przez Redakcyę w twoim artykule, jeżeli ona jest dobrą, to pewnie ta poprawka jest potrzebną. 8. Oznaczaj swoje nazwiska i adres i bądź spokojny, że ono, gdy sobie tego życzysz, będzie zachowane w tajemnicy. 9. Nie miej za złe Redakcyi, jeżeli twego artykułu nie umieściła, jakkolwiek pożytecznym ci się być zdaje, bo wyobrażenia mieć nie można o trudnościach, przeszkodach i względach, z jakiemi Redaktor liczyć się musi. 10. Bądź przekonany, że Redakcya nigdy nie lekceważy ofiarowanego sobie współpracownictwa i że nadsyłając artykuły na szczerą jej wdzięczność liczyć możesz. *Koresp. Płocki.*

Sprostowanie.

W ostatnim numerze mylnie podano dozwolenie Ustawą strzelania w Marcu do bażantów i kuropatw. Natomiast umieścić należy: cietrzewie i głuszce. Omyłkę tę rażącą prostujemy.

Ogłoszenie.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, a szczególnie Towarzystwo rybackie w Krakowie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla Kalendarza myśliwskiego i rybackiego na rok następny.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.